

250808

R 75. 196

## SIOSTRY RONDOLI

przez

Guy de Maupassant.

### I.

— Nie, — rzekł Piotr Jouvenet, nie znam Włoch, dwa razy próbowałem się tam dostać, ale zawsze powstrzymało mnie na granicy coś takiego, że było niepodobienstwem posunąć się dalej. Jednak owe dwie próby dały mi czarujące wyobrażenie o obyczajach tego pięknego kraju. Pozostaje mi poznać miasta, muzea i arcydzieła, w jakie ziemia ta obfituje. Lada dzień znowu spróbuję przekroczyć granicę tego terytorium, nieprzystępnego dla mnie dotąd.

— Nie rozumiesz? Wytłomaczę się jaśniej.

Roku 1874, opanowała mię chęć ujrzeć Wenecję, Florencję, Rzym i Neapol. Pociąg ten zrodził się we mnie około 15 czerwca, kiedy gwałtowna siła wiosny wznieca w sercach naszych gorącą potrzebę miłości i podróżowania.

Nie jestem jednak włóczęgą z natury; przenoszenie się z miejsca na miejsce, wydaje mi się rzeczą niepotrzebną i nużącą.

Nocna jazda koleją, spanie w trzęsącym wagonie, ból głowy, znużenie wszystkich członków, przebudzenie się w stanie zmordowania w tem toczącym się pu-

dle, uczucie brudu na skórze, śmiecie fruwające, które zasypują oczy i włosy, woń węgla jaką się odдыcha, szkaradne obiady, co się zjada w bufecie pełnym przeciągów — wszystko to według mego zdania, jest nieprzyjemnym wstępem do przejażdżki dla przyjemności.

Po tych niewygodach kolejowych, następuje przykry pobyt w hotelu, w tym wielkim hotelu, co pełen ludzi a taki pusty, gdzie pokój nieznany, smutny, łóżko podejrzone! Do niczego nie przywiązuję tak wielkiej wagi jak do łóżka. Ono jest świątynią życia. Jemu powierzamy nagie i zmęczone ciało, aby się orzeźwiło i wypoczęło na białej, cieplej i miękkiej pościeli. W niem spędzamy najrozkoszniejsze godziny życia — godziny miłości i snu. Łóżko jest świętością. Powinniśmy je szanować, czcić i kochać, jako rzecz najlepszą i najprzyjemniejszą z posiadanych na ziemi.

Nie mogę odwinąć prześcieradła na łóżku hotelowym, żeby się nie wstrząsnąć z odrazy. Co się tu działo przeszłej nocy? Jacy niechlujni i wstrętnei ludzie spali na tych materacach? I myślę o wszystkich ohydnych indywiduach, o które się codzień ocieramy, o brzydkich garbusach, o trędowatych, o rękach czarnych z brudu, dających do myślenia jakie są nogi i reszta. Myślę o tych, którzy przy spotkaniu zięją na ciebie odpychającym odorem cebuli lub ciała ludzkiego. Myślę o koszlawych, o zropiałych, o pocie chorych, o wszelkich szkaradach i wszelkich nieczystościach człowieka.

Wszystko to przeszło przez to łóżko, w którym spać będę. Mdło mi się robi, gdy wsuwam w nie nogę.

A obiady hotelowe, długie obiady przy table d'hôte,

pośród tych wszystkich osób nudnych lub śmiesznych; a te straszne samotne obiady przy stoliku restauracyjnym, naprzeciw lichej świeczki zaopatrzonej w zasłonę?

A rozpaczliwe wieczory w nieznanem mieście? Czy znasz co smętniejszego, jak zapadające cienie nocy na obcą ci miejscowość? Idziesz przed siebie jakby przez sen pośród ogólnego ruchu i ożywienia. Patrzysz się na twarze, których nigdy nie widziałeś i nigdy nie zobaczysz; słuchasz głosów, mówiących o rzeczach ci obojętnych—w języku, którego nawet nie rozumiesz. Doznajesz takiego uczucia jak gdybyś się zabłąkał, serce ci się ściska, nogi uginają, dusza omdlewa. Idziesz tak jak gdybyś uciekał; chodzisz, żeby nie wrócić do hotelu gdzie byłoby ci jeszcze bardziej obco, bo znajdowałbyś się u siebie w tym niby twoim, a ogólnym domu, za który zapłacisz. Nareszcie padasz na krzesło w oświetlonej rzęsiście kawiarni, gdzie złocenia i lampy tysiąc razy gorzej cię gnębią od ciemności ulicznych. Wtenczas, wobec tego pieniającego się kufła, który ci przyniósł biegający chłopiec, czujesz się tak nieznośnie samotnym, że cię jakiś szal ogarnia; pragniesz odjechać, być gdzieindziej, gdziekolwiek, byleby nie pozostawać tu, przy tym stoliku marmurowym i pod tym żyrandolem, co tak jaskrawo świeci. Nagle spostrzegasz, że w rzeczywistości jest się zawsze i wszędzie samotnym na świecie, ale znane miejsca i osoby które spotykasz, zdradzają w tobie złudzenie braterstwa pomiędzy ludźmi. Dopiero w tych godzinach opuszczenia i ponurej samotności, wśród dalekiego miasta, myślisz szeroko, jasno i głęboko. Wtedy to widzisz dobrze całe życie. Za jednym rzutem oka po za perspek-

tywą nadziei wiecznej, po za zwodniczością nabytych nałogów i oczekiwania szczęścia o jakim się zawsze marzy.

Udając się daleko, rozumiesz dopiero jak wszystko jest bliskie, krótkie i czerze, szukając nieznanego, spostrzegasz jak wszystko jest liचे i znikome; przebiegając ziemię, widzisz jak jest mała i ciągle prawie jednaka.

Ach! te ciemne wieczory, kiedy się chodzi bez celu po obcych ulicach, jakże je znam. Tak się ich boję, jak niczego w świecie.

Dla tego też, niechcąc za nic wybrać się sam jeden w tę podróż do Włoch, namówiłem przyjaciela mego, Pawła Pavilly, żeby mi towarzyszył.

Znasz Pawła, dla niego świat, życie — to kobieta. Dużo jest mężczyzn z tej rasy. Istnienie wydaje mu się upoetyzowane, opromienione obecnością kobiet. Ziemia dla tego jest mieszkalną, że się one na niej znajdują, słońce świeci i grzeje, z przyczyny, że je bla-ski swemi oblewa. Powietrze jest przyjemne dla oddechu, bo muska ich skórę i porusza krótkie włoski na ich skroniach. Księżyc jest uroczy, bo je rozmarza i miłości nadaje wdzięk omdlewający. To pewna, że pobudką każdego czynu Pawła są — kobiety. Wszystkie jego myśli, starania i nadzieje ku nim zacierają.

Kiedym wspomniał Pawłowi o Włoszech, zrazu stanowczo się zarzekł, że nie opuści Paryża, ale zacząłem mu opowiadać przygody z podróży; napomknąłem, że włoski słyną z wdzięków, rozbudziłem w nim nadzieje wyrafinowanych przyjemności w Neapolu, dzięki

listowi zalecającemu do niejakiego Signore Michel Amoroso, z którym stosunki są bardzo pożyteczne dla podróżujących... i dał się skusić.

## II.

Wsiedliśmy do pociągu pośpiesznego w pewien wieczór czwartkowy, 26 czerwca. Mało kto udaje się na południe w tym czasie; byliśmy więc sami w wagonie, obaj w złym humorze, nie radzi że opuszczamy Paryż. Wyrzucaliśmy sobie, żeśmy się dali porwać myśli podróżowania, żal nam było tak oienistego Marly, tak pięknej Sekwany, tak przyjemnych wybrzeży, rozkosznie spędzonych dni w czólnie, lubyh wieczorów, kiedy oczekując oieni nocnych, drzemaliśmy na brzegu.

Paweł zasunął się w kąć i skoro tylko pociąg ruszył z miejsca, oznajmił, że głupstwem jest tam jechać.

Ponieważ było zapóźno, żeby się rozmyślił, odrzekłem: — Nie trzeba się było puszczać w drogę!

Nic nie odpowiedział, ale miał tak złą minę, że patrząc nań, brała mię chęć do śmiechu. Jest on niezaprzeczenie podobny do wiewiórki. Każdy z nas, zresztą, zachowuje w rysach pod kształtem ludzkim typ zwierzęcy, jako piętno pierwotnego pochodzenia. Iluż to ludzi ma mordę buldoga, głowę kozła, królika, lisa, konia—łeb wołu. Paweł jest wiewiórką, która się stała człowiekiem. Ma bystre, jak to zwierzątko oczy, szersó rudą, nos spiczasty, oiało drobne, wążle, giętkie i zwinne, a przytem w całym układzie, jakieś tajemnicze po-



dobieństwo, pewną wspólność gestów, ruchów, postawy, która wygląda na pamięć przeszłości.

Nakoniec usnęliśmy obaj tym hałaśliwym snem kolejowym, przerywanym okropnym kurozem w rękach, w szyi i nagłem stawaniem pociągu.

Gdyśmy się obudzili, pędził on wzdłuż Rodanu. Niezadługo, wpadające ciągle przez okienko koniki polne, ich skrzyp co się wydaje głosem ziemi gorącej, śpiewem Prowancyi, owionęły nam twarz, pierś, duszę, wesołem wrażeniem południa, wonią gruntu spieczonego i kamienistej, jasnej ojczyzny karłowatej oliwki z liściem szarozielonym.

Ponieważ pociąg miał się jeszcze zatrzymać, konduktor zaczął biedz wzdłuż wagonów, wołając głosem donośnym: „Walencya!” z tym prawdziwym charakterystycznym akcentem, który zrodził w nas taki sam przedsmak Prowancyi, jak skrzyp koników polnych.

Do Marsylii nie zaszło nic nowego.

Poszliśmy do bufetu na śniadanie. Wróciwszy do wagonu, zastaliśmy siedzącą tam kobietę.

Paweł rzucił na mnie uradowane spojrzenie i mimowoli podkręcił krótkiego wąsa, poczem odchyliwszy trochę kapelusza, zamiast grzebienia, wsunął szeroko rozstawione palce we włosy bardzo rozługane po tej nocy spędzonej w podróży. Następnie usiadł naprzeciw nieznajomej.

Ile razy znajduję się w drodze lub w towarzystwie wobec nowej twarzy, prześladuje mię oheć odgadnienia jaka dusza, jaki umysł, jaki charakter, kryją się po za temi rysami.

Była to młoda kobieta, młodziutka i ładna, niezawodnie dziecięć południa. Miała przepyszne oczy, cudowne czarne włosy falujące, trochę kędzierzawe, tak gęste, mocne i długie, że się zdawały ciężyć; sam ich widok sprawiał wrażenie, że muszą przygniatać głowę. Ubrana z elegancją i z pewnym złym smakiem, właściwym południowi, zdawała się trochę pospolitą. Prawidłowe rysy jej twarzy nie miały tego wdzięku, tego wykończenia ras eleganckich, tej delikatności lekkiej, z jaką dzieci arystokratów rodzą się i która jest jakoby dziedzicznym piętnem krwi szlachetniejszej.

Miała na sobie bransolety zbyt szerokie, aby były ze złota, koleczki w których przejrzyste kamienie były za duże, fałszywe brylanty, w całej osobie coś nieokreślonego, coś co gminem trąciło. Odgadywała się, że musi mówić za głośno, krzyczeć przy każdej sposobności i mieć ruchy zbyt dosadne.

Pociąg ruszył.

Siedziała nieruchoma na swem miejscu, patrząc przed siebie z pochmurną miną rozzłoszczonej kobiety. Nawet nie spojrzała na nas.

Paweł wszczął rozmowę ze mną, mówiąc rzeczy obrachowane na efekt, popisując się konwersacją jak kupcy wystawiają w oknach wybór towarów, dla obudzenia żądz.

Ale ona zdawała się nie słyszeć.

— Tulon! — Przystanek! dziesięć minut! Bufet! — wołał konduktor.

Paweł skinął na mnie, żeby wysiąść i zaraz na ulicy zapytał: — Powiedz mi, kto to być może?

Roześmiałem się. Nie wiem; wszystko mi jedno.

Bardzo był rozplómienny: Co się nazywa ładna i świeża dziewczyna! Jakie oczy! Ale mina niezadowolniona. Musi mieć jakieś troski. Na nic nie zwraca uwagi. — Szepnąłem: Daremnie się wysilasz.

Ale się rozgniewał. Ja się nie wysilam, mój drogi, ta kobieta wydaje mi się bardzo ładną, nic więcej. Gdyby można do niej przemówić... Ale co jej powiedzieć? Może tobie przyjdzie co na myśl. Nie domyślasz się, kto to być może?

— Daję słowo, że nie. Jednakże byłbym skłonny wziąć ją za lichą aktoreczkę, która wraca do swej trupy po romansowej ucieczce.

Miał obrażoną minę, jak gdybym mu powiedział coś ubliżającego i rzekł znowu: — z czego to wnosisz? A mnie, przeciwnie, wydaje się bardzo przyzwoitą.

Odpowiedziałem: Spójrz na bransolety, mój drogi, na kolczyki i jej toaletę. Nie zdziwiłbym się także, gdyby to była baletniczka, albo nawet woltyżerka, ale prędzej baletniczka, cała jej osoba tchnie teatrem.

Ta myśl nie rozdrażniała go widocznie:

— Zamłoda jest, mój drogi, zaledwie ma lat dwadzieścia.

— Ależ, mój kochany, jest dużo rzeczy, które można robić przed dwudziestym rokiem, na przykład tańczyć i deklamować; nie licząc w to innych jeszcze, jakim się może jedynie oddaje.

— Podróźni do Nicei, Vintimille, proszę wsiadać! wołał konduktor.

Trzeba było wsiąść. Sasiadka nasza jadła pomarańczę. Stanowczo, nie miała układu dystyngowanego. Rozłożyła chustkę do nosa na kolanach i sposób ob-



dzierania złocistej skórki, otwierania ust, żeby uchwycić kawałek wargami, wypluwania pestek przez okno, zdradzał gminne nałogi i ruchy.

Zdawała się zresztą kwaśniejsza jeszcze niż w pierwszej i połykała szybko owoc ze śmiesznie rozjątrzoną miną.

Paweł pożerał ją oczami, susząc sobie nad tem głowę, coby zrobić dla zwrócenia jej uwagi, dla rozbudzenia jej ciekawości. Zaczął znów rozmawiać ze mną, wysuwając naprzód cały szereg idei dystyngowanych, poufałym tonem przytaczając znane nazwiska. Ona bynajmniej nie zwracała uwagi na jego wysiłki.

Mineliśmy Fréjus, Saint-Rapbaël. Pociąg przebiegał przez ten ogród, ten raj pełen róż, ten las cytrynowych i pomarańczowych drzew w rozkwicie, które zarazem pokrywał kwiat biały i owoc złocisty, przez to królestwo woni, tę ojezyzną kwiatów, to cudowne wybrzeże, ciągnące się od Marsylii do Genui.

Trzeba jechać w czerwcu wzdłuż tego wybrzeża, gdzie wszystkie najpiękniejsze kwiaty rosną, wonne, dzikie, w wązkich dolinach i na stokach pagórków. Ciągle się widzi róże, pola, płaszczyzny, płoty, gaje róż. Pną się po murach, rozkwitają na dachach, ciągną po nad drzewami, błyszczą pośród liści, białe, ponsowe, żółte, małe lub ogromne, wątle, w prostej i skromnej sukience, albo mięsiste, w ciężkim i świetnym stroju.

Od ich tchnienia mocnego, nieustającego, powietrze zgęszcza się, przybiera pewien smak, staje się mdłym. A jeszcze tęszą woń kwitnących pomarańcz, zdaje się

słodzić to czem się oddycha, robić z tego przysmak dla wężu.

Duże wybrzeże z brunatnymi skałami ciągnie się, skąpane w nierucomem morzu śródziemnem. Ciężkie słońce letnie pada jak kobierzec ognisty na góry, na długie piaszczyste brzegi, na morze o błękitnie zimnym i skręplonym. Pociąg ciągle się posuwa, zagłębia się w tunelach, aby się przemknąć przez wzgórze, ślizga po falujących dolinach, przechodzi po nad wodą po gzymsach prostopadłych jak mury i jakiś przyjemny, słaby choć nowy zapach porostu wodnego, co schnie, miesza się czasem z silną i odurzającą wonią kwiatów.

Ale Paweł nic nie wiedział, na nic nie patrzył, nic nie czuł. Podróżna zagarnęła całą jego uwagę.

W Cannes chcąc mi znowu coś powiedzieć, zrobił znak, żebym wysiadł.

Zaledwie wysiedliśmy z wagonu, wziął mię pod rękę.

— Wiesz, że ona jest zachwycająca. Przypatrz się jej oczom; a włosy, mój drogi, nigdy takich nie widział!

Odrzekłem: Uspokójże się, albo przypuść szturm, jeśli masz jakie zamysły, zdaje mi się, że ją można zdobyć, chociaż ma mię trochę dziką.

On znowu: Czybyś ty nie mógł do niej przemówić? Mnie nic nie przychodzi do głowy. Bywam idyotycznie głupi w pierwszych chwilach. Nigdy się na to nie zdobyłem, żeby zaczepić kobietę na ulicy. Śoigam je, krążę do koła nich, przybliżam się i nigdy nie mogę natrafić na właściwy frazes. Do jednej tylko spróbowałem przemówić. Widząc że czeka, żebym się odezwał

i że koniecznie muszę coś powiedzieć, bąknąłem: Jak się pani ma? Roześmiała mi się w oczy, a ja uciekłem.

Obiecałem Pawłowi, użyć całej zręczności, żeby przyszło do rozmowy i gdyśmy zajęli na nowo swe miejsca, zapytałem uprzejmie naszą sąsiadkę:

— Czy pani nie szkodzi dym cygara?

Odrzekła: Non capisco.

Była to włoszka! Opanowała mię szalona chęćka do śmiechu. Ponieważ Paweł nie rozumiał ani słowa w tym języku, wypadało mi służyć im za pośrednika. Przystępując do mej roli, powiedziałem po włosku.

— Pytałem, czy pani znosi dym tytoniu?

Gniewnie zawołała: Che mi fa!

Nie obróciła głowy, nie podniosła na mnie oczu i w wielkim byłem kłopotcie, niewiedząc, czy wziąć to: „co mię to obchodzi” — za upoważnienie, za odmowę, za szczerą oznakę obojętności, czy za proste: Daj mi pan pokój.

Odezwałem się znowu: Jeśli ten zapach pani choć trochę niemiły.

Odrzekła wtedy: Mica, tonem, który znaczył: zostawże mię pan w spokoju. Było to jednak przyzwolenie i powiedziałem Pawłowi: Możesz palić. Patrzył on na mnie temi zdziwionemi oczami, jakie miewamy, starając się zrozumieć ludzi mówiących obcym dla nas językiem i zapytał jakoś komicznie:

— Coś ty jej powiedział?

— Spytałem, czy możemy palić.

— Więc ona nie mówi po francuzku?

— Ani słowa.

— Cóż odpowiedziała?

— Że nam pozwala robić wszystko, co tylko chcemy.

Zapaliłem cygaro.

Paweł rzekł znowu: Czy więcej nie nie powiedziała?

— Mój drogi, gdybyś był liczył jej wyrazy, zauważyłbyś, że ich powiedziała sześć; z tych dwa objaśniały mię, że nierozumie po francuzku. Zostaje zatem cztery a w czterech słowach nie można przecież wyrazić bardzo wielu rzeczy.

Paweł zdawał się strasznie zasmucony, zawiedziony, pomieszany.

Nagle, włoszka zapytała mię tymże samym niezadowolonym tonem, który musiał jej być wrodzonym: Nie wiesz pan o której godzinie przyjedziemy, do Genui?

Odrzekłem: O jedenastej wieczorem, pani.

¶ Po chwili milczenia, dodałem: My także obaj z przyjacielem zmierzamy do Genui i gdybyśmy się mogli przysłużyć pani czemkolwiek w drodze, wielceby nas to uradowało.

Ponieważ nie nie odpowiadała, zacząłem nalegać: Jesteś pani sama jedna i gdybyś potrzebowała naszych usług. Mica rzekła znowu tak ostro, że natychmiast umilkł.

Paweł zapytał:

— Co ona mówi?

— Że jej się wydajesz zachwycający.

Ale on nie będąc w usposobieniu do żartów poprosił oschle, żebym nie drwił z niego. Przetłomaczyłem mu wtedy zapytanie tej młodej osoby i moją uprzejmą propozycją tak szorstko odrzuconą.

Miotając się jak wiewiórka w klatce — rzekł on: Gdyby się można dowiedzieć w którym hotelu stanie, udalibyśmy się tam także. Postaraj się wybadać ją zrećznie i wywołać rozmowę.

Nie było to rzeczą łatwą i nie wiedziałem co wymyśleć, a i mnie wzięła ochotę zapoznać się z tą nieprzy-  
stępną osobą.

Minęliśmy Nizzę, Monaco, Mentonę, i pociąg zatrzymał się na granicy dla rewizyi bagaży.

Jakkolwiek niecierpię tych źle wychowanych ludzi, co jedzą śniadanie i obiad w wagonie, poszedłem zakupić różne prowizye, chcąc jeszcze tego sprobować, czy nasza towarzyszka nie da się ulaskawić przez łakomstwo. Czulem że w zwykłym stanie rzeczy, łatwy jest przystęp do tej dziewczyny, że ją musi rozdrażniać jakaś przykreść, ale może lada fraszką, rozbudzoną jakąś ochętką, słówkiem, zrećznie ofiarowaną drobnostką zdo-  
łam ją rozchmurzyć, ująć sobie, zdobyć.

Pojechaliśmy dalej. Było nas ciągle tylko troje. Rozłożywszy prowianty na ławce, pokrajałem kurozę, elegancko poukładałem kawałki szynki na papierze, starannie przygotowałem, blisko tej młodej osoby, poziomki, śliwki, wiśnie, ciastka i cukierki nawet.

Spostrzegłszy, że się zabieramy do jedzenia, wyjęła także z woreczka kawałek czekolady i dwa rogaliki, poczem zaczęła chrupać pięknymi ostremi ząbkami te trzeszczące bułeczki i tabliczkę.

Paweł rzekł do mnie półgłosem:

— Zaprośże ją.

— Mam ten zamiar, mój drogi, ale nie łatwo przystąpić do rzeczy.



Jednakże spoglądała niekiedy w stronę naszych pasów i uczulem, że nawet zjadłszy te dwa rogale, będzie jeszcze głodna; gdy skończyła więc skromny swój obiad, odezwałem się:

— Czy pani raczy przyjąć, który z tych owoców?

Odpowiedziała mi znowu: Mica, ale nie tak gniewnie, jak w ciągu dnia, zacząłem zatem nastawać: A więc może pani pozwoliś nalać sobie trochę wina; widzę żeś nic nie piła. To jest wino z kraju pani, z Włoch i kiedy jesteśmy teraz w jej ojczyźnie, byłoby nam bardzo miło, gdyby ładne usta włoskie przyjęły ofiarę od francuzów, sąsiadów swoich.

Robiła głową znak przeczący zlekka, chcąc odmówić, a pragnąc przyjąć i znowu powiedziała: Mica—ale to mica było prawie grzeczne. Wziąłem buteleczkę oplecioną w słomę, według zwyczaju włoskiego i podałem jej nalany kieliszek.

— Bądź pani łaskawa wypić — rzekłem, będzie to powitanie nas w swej ojczyźnie.

Wzięła kieliszek z pochmurną miną i wychyliła go odrazu, jak osoba którą dręczyło pragnienie; poczem oddała mi go bez podziękowania.

Wtedy ofiarowałem jej wiśnię: — Weź, pani, bardzo proszę. Wszakże pani widzi, że nam to sprawia wielką przyjemność.

Patrząc ze swego kąta na rozłożone obok niej owoce, rzekła tak prędko, że mi było bardzo trudno zrozumieć:

— A me non piacciono le ciliegie, nele susine; amo soltanto le fragole.

— Co ona mówi? — zapytał zaraz Paweł.

— Powiada, że nie lubi ani wisien, ani śliwek tylko poziomki.

Położyłem jej na kolanach dziennik pełen poziomek, które zaczęła natychmiast jeść bardzo szybko. Chwytała je końcami palców i zdaleka trochę wrzucała do ust, otwierając je powabnie z wdziękiem.

Gdy pochłonęła ten czerwony stos, który w oczach naszych zmalął, potem topniał, nareszcie znikł w przeciągu kilku minut, w jej skrętnych rękach, zapytałem: — A teraz, czem pani mogę służyć?

— Proszę o kawałek kurczęcia, — rzekła i połknęła co najmniej pół ptaka, szarpiąc go zębami jak mięsożerne zwierzę. Potem wzięła się do wisien, których nie lubi, następnie do śliwek i do ciastek, a nareszcie rzekłszy: — już dosyć, wsunęła się w swój ką.

Zaczynało mię to niezmiernie bawić i żeby ją nakłonić jeszcze do jedzenia, zdwoiłem komplimenta i prośby. Ale naraz, stała się znowu wściekłą i tak groźnie zawołała — Mica, zem się już nie odważył zakłócać jej trawienia.

Zwróciwszy się do przyjaciela, rzekłem: Biedny mój Pawle, zdaje się, że wszystkie nasze starania były daremne.

Nastawała noc, gorąca noc letnia, która zstępując zwolna, rozszerzała swe ciepłe cienie na spieczonej i znużonej ziemi. W dali na morzu, rozpalały się gdzieś niedaleko ognie na wierzchołkach przyładków, gwiazdy zaczynały błyszczeć na zaciemnionym horyzoncie i chwilami brałem je za latarnie morskie.

Woń drzew pomarańczowych nabierała większej

jeszcze mocy; oddychało się nią z upojeniem, nadymając płuca, żeby się nią lepiej napawać.

Coś słodkiego, rozkosznego, boskiego zdawało się unosić w tem aromatycznym powietrzu.

Nagle spostrzegłem pod drzewami, wzdłuż drogi, w gęstych już cieniach, coś podobnego do deszczu z gwiazd. Rzekłbyś, że to krople światła skaczą, fruują, igrają i biegają po liściach, że to gwiazdeczki co spadały z nieba, żeby się pobawić na ziemi. Były to robaczki świętojańskie, tańczące wśród balsamicznego powietrza, jakiś osobliwy balet z płomyków ognistych.

Jeden z nich, przypadkiem wpadł do naszego wagonu i zaczął się błąkać tu i owdzie, rzucając światło przelotne, gasnące natychmiast; po ukazaniu się jego zasunąwszy na kinkiet zasłonę niebieską, przyglądałem się, jak ten fantastyczny owad buja w tę i ową stronę, idąc za kaprysem swego płomiennego lotu. Naraz usiadł na czarnych włosach naszej sąsiadki, która zdrzemnęła się po obiedzie. Paweł z zachwytem wpatrywał się w ten punkcik błyszczący, który połyskiwał jak żywy klejnot na czole śpiącej kobiety.

Dochodziło trzy kwadransy na jedenastą, kiedy obudziła się włoszka jeszcze z tym świecącym robaczkiem we włosach. Skoro się poruszyła rzekłem: „Dojeżdżamy do Genui, pani”. Ale nie odpowiedziała mi nic, tylko szepnęła, jak gdyby przesładowana jakąś przykrą i nieodstępującą jej myślą: „Co ja teraz zrobię?”

Potem niespodzianie zapytała mię:

— Czy chcecie panowie, żebym pojechała z wami?

— Jakto z nami? Co pani przez to rozumie?

Powtórzyła ze wzrastającą złością:

— Czy chcecie panowie, żebym z wami pojechała natychmiast?

— I owszem, będę bardzo rad, ale dokądże się pani chce udać? Gdzie ją mam zaprowadzić?

Wzruszyła ramionami z najzupełniejszą obojętnością:

— Gdzie pan zechcesz, mnie wszystko jedno.

Dwa razy powtórzyła: „Che mi fa?”

— Ale bo my idziemy do hotelu.

Z największą wzdargą odparła: „To idźmy do hotelu”.

Obróciwszy się do Pawła, powiedziałem:

— Pyta się, czy chcemy, żeby z nami poszła?

Na widok zdumionego i jakby odchodzącego od przytomności przyjaciela, odzyskałem zimną krew.

— Z nami? Dokąd? Po co? W jaki sposób? — bąkał on.

— Ja nic nie wiem. Przed chwilą zrobiła mi tę osobliwą propozycję strasznie rozdrażnionym tonem; odpowiedziałem, że się wybieramy do hotelu; na co odrzekła: „To idźmy do hotelu!” Pewno niema ani jednego su. Bądź co bądź, szczególny to sposób zabierania znajomości.

Paweł wzburzony, kipiący, zawołał: „Rozumie się, że przystaję; powiedz, że ją odprowadzimy dokąd jej się spodoba”. Po krótkim wahaniu, dodał z pewnym niepokojem: „Tylko trzebaby wiedzieć, z kim chce pójść, z tobą czy zemną?”

Zwracając się do włoszki, która niesłuchała naszej rozmowy i wróciła do zupełnej obojętności, rzekłem: „Będzie nam bardzo przyjemnie zabrać panią z sobą.

Tylko mój przyjaciel pragnie wiedzieć, czy się zechcesz wesprzeć na jego, czy na mojem ramieniu”.

Wpatrzywszy się we mnie swem wielkiem, czarnem okiem, z niejakim zadziwieniem odpowiedziała: „Che mi fa?”

Wytłomaczyłem się jaśniej: „Zdaje mi się, że we Włoszech nazywają przyjaciela, który się stosuje do każdego życzenia kobiety, spełnia każdą jej wolę i zadawalnia kaprysy — *un patito*. Którego z nas dwóch chcesz pani za swego *patito*”.

Odparła bez wahania: „Pana!”

Rzekłem do Pawła: „Mnie wybiera, mój drogi, nie sprzyja ci szczęście”.

— Tem lepiej dla ciebie—odpowiedział zapaloczywie.

Po chwilowym namyśle, dodał:

— Czy ci zależy na tem, żeby tę gąskę zabrać z sobą? Zepsuje nam podróż. Cóż będziemy robili z kobietą, która tak wygląda. Nawet nas nie przyjmą do porządnego hotelu.

Ale mnie się właśnie włoszka zaczęła daleko lepiej podobać, niż z początku i zależało mi, tak zależało mi teraz na tem, żeby ją wziąć z sobą. Czarowała mię nawet ta myśl i czułem już owe dreszcze oczekiwania, jakie zradza w naszych żyłach nadzieja nocy miłosnej.

Odrzekłem: Mój drogi, przystaliśmy — zapóźno już ofoać się. Tyś mi pierwszy doradzał przyjąć jej propozycję.

Mruknął: To sensu niema! ale zrób, jak chcesz.

Pociąg gwizdał, zwalniał bieg, nareszcie zajechaliśmy.

Wsiadłszy, podałem rękę mej nowej towarzyszce.



Lekko skoczyła na ziemię i z widocznym przymusem przyjęła me ramię. Po wynalezieniu i odebraniu kufców, puściłiśmy się w miasto; Paweł szedł w milczeniu, krokiem nerwowym.

Rzekłem doń: Do którego hotelu pójdziemy? Może będzie trudno stanąć w *Cité de Paris*, z kobietą, a zwłaszcza też z tą włoszką.

Paweł przerwał: Tak z włoszką, podobniejszą na kokotkę niż na księżnę. Ale to nie moja rzecz. Rób co ci się podoba!

Byłem zakłopotany. Zamówiłem listownie pokój w *Cité de Paris*, a teraz... sam nie wiedziałem na co się zdecydować.

Dwóch posłańców szło za nami, niosąc pakunki. Odezwałem się zuowu: Powinieneś pójść naprzód i oznajmić, żeśmy przybyli. Prócz tego, dałbyś do zrozumienia gospodarzowi, że jestem z... przyjaciółką i że sobie życzymy całkiem odosobnionego apartamentu dla nas trojga, żeby być zdala od innych podróżnych. On zrozumie, urządzimy się stosownie do tego, co odpowie.

Ale Paweł mruknął: Dziękuję, te zlecenia i ta rola nie przypadają mi do smaku. Nie przyjechałem tu po to, żeby ci przysposabiać apartamenta i przyjemności.

Alem ja nalegał: Ależ, mój drogi, nie gniewaj się. Przecież lepiej stanąć w dobrym hotelu, niż w złym i nie tak to znów trudno pójść zażądać od gospodarza trzech oddzielnych pokojów i jadalni.

Położyłem nacisk na wyrazie: trzech. W skutek czego dał się namówić.

Udał się więc naprzód i widziałem jak wszedł do

bramy pięknego hotelu, podczas kiedy ja pozostałem na drugiej stronie ulicy, wlokąc przy sobie milozącą włoszkę, a za sobą ludzi niosących kufry.

Paweł wrócił nareszcie z miną tak kwaśną, jak moje towarzyszkę i rzekł: Interes załatwiony, przyjmą nas; ale są tylko dwa pokoje, urządzisz się zatem jak będziesz mógł.

Udałem się za nim zawstydzony, że wchodzę z mą podejrzaną towarzyszką...

Mieliśmy rzeczywiście dwa pokoje, przedzielone salonikiem. Poprosiwszy żeby nam przyniesiono coś zimnego na kolację, rzekłem trochę zakłopotany do włoszki:

— Niemogliśmy dostać więcej jak dwa pokoje, niechże więc pani będzie łaskawa wybrać sobie, który zechce.

Odpowiedziała swoim wiecznem: Che mi fa? Wtedy wziąłem jej czarną drawnianą skrzynkę, taki kuferek jaki miewają sługi i zaniósłem do pokoju na prawo, który wybrałem dla niej... to jest dla nas. Na kawałku naklejonego papieru był napis francuzkim charakterem skreślony: „Mademoiselle Francesca Rondoli. Gênes”.

Zapytałem: Pani się nazywasz Francesca?

Skinęła potwierdzająco głową.

Ja znowu rzekłem: Zaraz będziemy jeść kolację, możebyś się pani chciała obmyć z kurzu?

— Mica — odparła, co równie często wychodziło z jej ust, jak: Che mi fa?

Ja nalegam: Po jeździe koleją, tak przyjemnie obmyć się.

Przyszło mi potem na myśl, że może niema drobiazgów potrzebnych kobiecie, bo się zdawała być w osobliwym położeniu, jak gdyby tylko co po jakiejś przykrej przygodzie, przyniosłem jej moją toaletkę po-dróżną.

Wyjąłem wszystkie przybory toaletowe, jakie się w niej znajdowały: szczotkę do paznogi, nową szczotkę do zębów—bo zawsze wożę z sobą zapas—nożyczki, pilniki, gąbki. Odetkałem butelkę z wodą kolońską, flaszkę z wodą lewandową, zaprawioną ambrawą, flakonik z new mown hay, do wyboru. Otworzyłem pudełko z pudrem ryżowym, w którym leżał delikatny puszek; powiesiłem jeden z moich cienkich ręczników na dzbanku z wodą i położyłem nienapoczęte mydło przy miednicy.

Śledziła moje ruchy swem dużem i gniewnem okiem, nieokazując, na widok moich starań, ani zadziwienia, ani zadowolenia.

Powiedziałem jej: Oto wszystko, czego pani potrzebować możesz; zawiadomię ją, gdy kolacya będzie gotowa.

Wróciłem do salonu. Paweł zajął drugi pokój i zamknął się w nim; czekałem więc sam jeden.

Garson krzątał się, przynosząc talerze, szklanki; nakrywał stół powoli, potem postawiwszy na nim kurczę na zimno, oznajmił, że kolacya podana.

Zapukałem zlekka do drzwi panny Rondoli. Zawołała: Proszę wejść! Wszedłem i owionął mię odurzający odór perfum,—ten gęsty, moony odór, jaki czuć w sklepach fryzyerskich.

Włoszka siedziała na swym kufierku w pozycyi

marzycielki zachmurzonej, lub odprawionej sługi. Za jednym rzutem oka zmiarkowałem, co ona rozumie przez starania koło swej osoby. Ręcznik pozostał złożony na dzbanku, napełnionym jeszcze wodą; mydło nienaruszone i suche leżało przy pustej miednicy; ale rzekłbyś, że ta młoda kobieta wypłała połowę flakonów z perfumami. Wody kolońskiej nie wyszafowała wiele: może trzecią część butelki, ale zato zużyła zdumiewającą ilość wody lewendowej z ambłą i new-mown-hay. Chmura z pudru ryżowego, lekka jakaś mgła biała zdawała się jeszcze wisieć w powietrzu, tak sobie obyspała twarz i szyję. Na rzęsach, na brwiach i skroniach, leżało coś niby śnieg, policzki były oblepione i we wszystkich wklęsłościach twarzy, na klapkach u nosa, w dołeczku podbródka, w kącikach oczu widać było grube warstwy.

Gdy się podniosła, rozszedł się od niej tak mocny zapach, że m dostał migreny.

Zasiedliśmy do kolacyi. Paweł był w nieznośnem usposobieniu; nie mogłem zeń nic wydobyć, prócz nagan, ostrych sądów lub nieprzyjemnych komplementów.

W ustach panny Franceski znikało jedzenie jak w bezdennej otchłani. Nasyciwszy się, usnęła zaraz na kanapie. Z niepokojem widziałem zbliżającą się stanowczą chwilę dzielenia się pokojami. Choć się z tem prędzej załatwić, usiadłem przy włoszce i z galanterią pocałowałem ją w rękę.

Otworzyła znużone oczy i rzuciła na mnie z pod powiek spojrzenie senne i ponure.

Rzekłem: Ponieważ mamy tylko dwa pokoje, czy mi pani pozwoli pójść z sobą?

Odpowiedziała: Zrób pan jak zechcesz, wszystko mi jedno.— Che mi fa?

Ta obojętność dotknęła mię niemile: Więc nie sprawię pani przykrości, jeśli z nią pójdę?

— Wszystko mi jedno; zrób pan, jak ci się podoba.

— Chcesz się pani położyć zaraz?

— Dobrze, jestem śpiąca.

Podniosła się, ziewnęła, wyciągnęła rękę do Pawła, który ją wziął ze wściekłym wyrazem twarzy, poczem poświeciłem jej do naszego pokoju.

Ale mię dręczyła pewna obawa.

— Znajdziesz tu pani wszystko, co ci może być potrzebne — rzekłem znowu.

A nawet nalałem jej pół miednicy wody i położyłem ręcznik przy mydle.

Następnie wróciłem do Pawła, skorom tylko wszedł, odezwał się: Ładnego wielbłąda sobie sprowadziłeś!

— Mój drogi—odparłem ze śmiechem — nie obmawiaj niedojrzałych winogron.

— Zobaczymy, czy nie pożałujesz tego, mój kochany—rzekł znowu ze skrytą złością.

Zadrzałem i ogarnęła mię owa dręcząca trwoga, co nas prześladowuje po miłośkach podejrzanych, owa trwoga, co zatruwa spotkania przyjemne, niespodziane pieszcoty i wszelkie przypadkowe całusy. Udawałem jednak odwagę: Co znowu, ta dziewczyna nie jest uliczną.

Ale ten łotr rozumiał mię i wyczytał niepokój z twarzy: Alboż ją znasz? Dziwny z ciebie człowiek! Spotykasz w wagonie włoszkę, która podróżuje sama jedna i proponuje ci z rzadkim cynizmem, że zanocuje z tobą w jakim hotelu. Zabierasz ją z sobą. I utrzy-



mujesz, że to nie kokotka! I wmawiasz w siebie, że ci nie grozi dziś wieczór takie niebezpieczeństwo jak gdybyś przepędził noc w łóżku... kobiety chorej na ospę.

Mówił to ze swym złośliwym śmiechem, w którym przebijało rozdrażnienie. Usiadłem dręczony niepokojem. Co robić? On miał słuszość... Straszna walka odbywała się we mnie pomiędzy obawą a żądzą.

Paweł odezwał się znowu: Zrób, jak chcesz przestrzegłem cię, więc nie będziesz mógł narzekać na następstwa.

Widziałem w jego oczach tak ironiczną wesołość i takie zadowolenie ze swej zemsty, przytem tak śmiało drwił ze mnie, że przestając się wahać, podałem mu rękę i rzekłem: dobranoc.

— *Zwycięztwo bez niebezpieczeństwa, zapewnia tryumf bez chwwały.*

— A dalibóg, mój drogi, dla tego zwycięztwa warto się narazić na niebezpieczeństwo.

Pewnym krokiem udałem się do pokoju Franceski.

Zadziwiony, zdumiony, zatrzymałem się we drzwiach: spała już na łóżku, w ślicznej pozie, przypominającej wspaniałą kobietę Tycyana.

Nazajutrz ubrała się wczesnie, widocznie przyzwyczajona do rannych zatrudnień. Podnosząc się z łóżka, obudziła mię i śledziłem ją nawpół otwartem okiem.

Kręciła się po pokoju, bez pośpiechu, jak gdyby zadziwiona, że niema nic do roboty. Nareszcie zdecydowała się przybliżyć do toalety i w jednej chwili wypróżniła wszystkie perfumy, jakie pozostały w mych flakonach. Prawda, że użyła też i wody, ale mało.

Ubrawszy się zupełnie, usiadła na swym kuferku i dumiała, objąwszy kolano rękami.

Udając, że ją dopiero teraz spostrzegam, rzekłem :

— Dzień dobry, Francesko.

— Dzień dobry — mruknęła, wcale nie uprzejmiej-sza niż dnia poprzedniego.

— Dobrześ spała? — zapytałem.

Skinęła tylko głową. Wyskoczywszy z łóżka, zbliżyłem się żeby ją pocałować.

Nadstawiła twarz tak niechętnie, jak dziecko, które pieścimy pomimo jego woli. Wziąłem ją czule w objęcia (korzystając z przełamanych lodów) i zwolna przyłożyłem usta do jej wielkich, gniewnych oczu, które zamykała, zadąsana, gdym całował przezroczy-ste policzki i pełne, mięsiste wargi, które odwracała odemnie. Powiedziałem jej:

— Więc ty nie lubisz być całowaną?

— Mica — odrzekła.

Usiadłem na kuferku obok niej i wsunąwszy rękę pod jej ramię, rzekłem:

— Mica! Mica! — na wszystko: Mica! Odtąd będę cię nazywał panną Mica.

Po raz pierwszy zdawało mi się, że dostrzegam cień uśmiechu na jej ustach, ale tak się szybko przemknął, że m się mógł pomylić.

— Jeśli mi na wszystko odpowiadać będziesz Mica, nie będę wiedział czem ci sprawić przyjemność. Na przykład dzisiaj, co będziemy robili?

Zawahała się, jakby przeszło jej przez głowę coś naksztalt życzenia; poczem z niechcenia odparła:

— Wszystko mi jedno, co pan zechcesz.

— A więc, panno Mica, wybierzemy się powozem na spacer.

— Jak się panu podoba—przebaknęła.

Paweł czekał na nas w jadalnym pokoju z kwaśną miną, jaką ma zwykle osoba trzecia w sprawach miłosnych. Ja za to przybrałem rozradowany wyraz twarzy i uściśniłem mu rękę z energią, mającą oznaczać zwycięstwo.

— Co myślisz z sobą robić?—zapytał.

— Najpierw przejdziemy się po mieście—odrzekłem, a potem będzie można pojechać do jakiego zakątka w okolicy.

Zjadłszy śniadanie w milczeniu, puściliśmy się do muzeów. Wlokłem Franceskę pod rękę z pałacu do pałacu. Przebiegliśmy pałac Spinola, pałac Doria, pałac Marcello Durazzo, pałac Czerwony i pałac Biały. Nie przyglądała się niczemu, albo też podnosiła na arcydzieła swe oko ociężałe i leniwe. Paweł rozjątrzony, szedł za nami, pomrukując nieprzyjemne rzeczy. Następnie odbyliśmy przejażdżkę zamiejską, wszyscy troje — niemi.

Nakoniec wróciliśmy do domu na obiad.

Nazajutrz było to samo, na trzeci dzień również.

Trzeciego dnia Paweł powiedział:

— Słuchaj, ja cię tu zostawię; nie myślę siedzieć trzy tygodnie po to, żeby patrzeć, jak romansujesz z tą gąską.

Wprowadziło mnie to w wielki frasunek i kłopot, bo ku własnemu zdziwieniu, szczególnie przywiązałem się do Franceski. Człowiek jest słaby, głupi, lada czem dający się pociągnąć i nikczemny, ile razy zmysły jego

są podrażnione lub owładnięte. Obchodziła mię ta dziewczyna, której nie znałem, ta dziewczyna milcząca i zawsze niezadowolniona. Lubiłem jej cierpki wyraz twarzy, usta nadąsane i znudzone spojrzenie, podobały, mi się jej ruchy omdlewające, przyzwolenia wzgardliwe, nawet obojętność pieszczot. Jakaś nić ukryta łączyła mię z nią; tajemnicze więzy miłości zwierzęcej, to niewytlómaczone przywiązanie, co wynika z posiadania bez przesytu—trzymały mię przy niej. Gdym to otwarcie powiedział Pawłowi, nazwał mię głupcem, a potem dodał: To ją zabierz z sobą.

Ale w żaden sposób nie chciała wyjechać z Genui nietłómacząc się co jest tego przyczyną.

Próbowałem prośb, rozumowań, obietnic, wszystko było daremne.

I pozostałem.

Paweł oznajmił, że sam odjedzie, upakował nawet swe rzeczy, ale także pozostał.

Znowu upłynęły dwa tygodnie.

Franceska, ciągle milcząca i cierpka, żyła raczej obok mnie, jak zemną, odpowiadając na wszystkie moje żądania, na wszystkie prośby, na wszystkie propozycje swem wiecznem: Che mi fa, lub niemniej wiekuistem: Mica.

Mój przyjaciel nieustawał w swej wściekłości, a ja na wszystkie gniewne wybuchy odpowiadałem: Możesz odjechać, jeśli ci cię przykrzy. Nie zatrzymuję cię.

Wtedy lżył mię, zarzucał wymówkami, wołał:

— Ależ gdzież ty choesz, żebym pojechał teraz. Mieliśmy do rozporządzenia trzy tygodnie, z których dwa minęły. Już przepadła moja podróż. Wreszcie,

alboż bym pojechał sam jeden do Wenecyi, Florenoy i Rzymu. Ale ty mi to zapłacisz i drożej, niż ci się może zdawać. Nie sprowadza się człowieka z Paryża po to, żeby go zamknąć w jednym z hotelów geneueńskich z ulicznicą włoską!

— Wróc do Paryża—odpowiadałem spokojnie.

Wtedy krzyczał:

— Właśnie też tak zrobię i nie dalej jak jutro.

Ale nazajutrz zostawał, tak samo, jak w wigilię, ciągle zły i miotający klątwy.

Znano nas już w Genui, bośmy się włóczyli od rana do nocy po ulicach wązkich i bez chodników, tego miasta, co przypomina ogromny labirynt z kamieni, pełen korytarzy podobnych do podziemi. Chodziliśmy po tych pasażach ze strasznymi przeciągami, po przecznicach wcisniętych pomiędzy tak wysokie mury, że prawie nie było widać nieba. Francuzi oglądali się czasem zdziwieni, że widzą swych ziomeków w towarzystwie tej znudzonej dziewczyny, jaskrawo ubranej, tak zwracającej uwagę, rażącej obok nas, kompromitującej.

Szła wsparta na mem ramieniu, na nic nie patrząc. Dlaczego zostawała ze mną, z nami, chociaż się zdawało, że jej sprawiamy tak mało przyjemności? Kto ona? Zkąd? Jaki jej zawód? Czy też może żyje z dnia na dzień, spuszczając się na los szczęścia? Daremnie siliłem się zrozumieć ją, odgadnąć, wytłómaczyć sobie.

Im więcej ją poznawałem, tem mi się wydawała bardziej zagadkową. Nie, to nie awanturnica, utrzymująca się z miłości, ale raczej może córka jakich biedaków, którą ktoś uwiódł, porwał, a teraz—zgubioną, porzucił. Ale co ona myśli z sobą robić? Na co czeka?



bo się wcale nie stara o to, żeby mnie zniewolić sobie, lub wyłudzić ze mnie jakąś korzyść bardziej realną.

Próbowałem ją wy badać, rozpytujać o jej dzieciństwo, o rodzinę, — nic nie odpowiadała. A jam pozostał przy niej, wolny sercem a przykuty ciałem, bynajmniej nieznudzony trzymaniem w objęciach tej kobiety, złej ale przepysznej. Czułem do niej jakiś pociąg zwierzęcy, przykuty byłem przez zmysły, albo prędeziej przez urok zmysłowy, młody, zdrowy, silny, wydzielający się z niej — z jej skóry pełnej, z krzepkich linii jej ciała.

Znowu upłynął tydzień i zbliżał się kres mojej podróży, gdyż byłem zmuszony wrócić do Paryża 11 lipca. Paweł zaczynał zwolna godzić się ze swym losem, dokuczając jednak ciągle, ja zaś siliłem się na obmyślanie przyjemności i rozrywek dla kochanki i przyjaciela.

Pewnego dnia, zaproponowałem im wycieczkę do Santa Margarita. Śliczne to miasteczko, leżące pośród ogrodów, kryje się u stóp wzgórza, wnikającego głęboko w morze, aż do wsi Portofino. Szliśmy we troje cudowną drogą, ciągnącą się wzdłuż góry. Naraz, Francesca odzywa się do mnie:

— Nie będę się mogła wybrać z panami na jutrzejszą przejażdżkę, bo mam odwiedzić kogoś z rodziny.

I umilkła: nie rozpytywałem się, pewny będąc, że nie odpowie.

Nazajutrz wstała rzeczywiście bardzo wczesnie. Ponieważ leżałem jeszcze, usiadła na mem łóżku i rzekła nieśmiało, z widoczną przykrością, wahając się:

— Jeśli nie wrócę dziś do wieczora, czy przyjdiesz pan po mnie?

Odpowiedziałem:— Ależ przyjdę, z pewnością, tylko gdzie mam cię szukać?

Objaśniła mię, mówiąc:

— Pójdiesz pan ulicą Victor-Emanuel, potem pasażem Falcone i przecnicą Saint-Raphaël do domu handlującego meblami, w głębi podwórza w prawej oficynie, zapytasz o panią Rondoli: to tam.

I pojechała, a jam pozostał niezmiernie zdziwiony.

Paweł, ujrawszy mię samego, ze zdumieniem wybąkał:

— A gdzież Francesca?

Opowiedziałem mu co zaszło.

— Skorzystaj ze sposobności i umknijmy! -- zawołał — tembardziej, że już pora wracać, dwa dni mniej lub więcej nie stanowi. W drogę, w drogę, pakuj się i—w drogę!

Odmówiłem:— Ależ nie, mój drogi, nie mogę zostawić tej dziewczyny w taki sposób, przebywszy z nią trzy tygodnie. Muszę się z nią pożegnać, ofiarować jej co, gdyż znalazłbym się jak brudas.

Niechciał słuchać, nalegał, męczył mię; jednakżem nie ustąpił.

Cały dzień oczekiwałem w domu powrotu Franceski, ale nie przyszła, wieczorem, przy obiedzie, Paweł tryumfował:

— Ona opuściła ciebie, wiesz, że to zabawne, bardzo zabawne!

Wyznaję, zem był zadziwiony i trochę zły. Paweł śmiał się ze mnie i drwił:

— To niezły sposób, zresztą, jakkolwiek pierwotny. Czekaj na mnie, powrócę.— Czy długo myślisz czekać? Kto wie? Może będziesz tak naiwny, że pójdziesz ją szukać pod wskazanym adresem:—Pani Rondoli?—To nie tutaj, panie.—Założyłbym się, że masz ochotę pójść.


Protestowałem: — Ależ nie, mój drogi i zapewniam cię, że jeśli nie wróci do jutra rana, jadę o ósmej godzinie pospiesznym pociągiem. Przeczekałbym dwadzieścia cztery godzin, to dosyć; będę miał spokojne sumienie.

Spędziłem cały wieczór w niepokoju, trochę smutny, trochę zdenerwowany. Doprawdy, miałem dla niej jakieś uczucie w sercu. O dwunastej położyłem się, ale prawie wcale nie spałem.

O szóstej byłem już na nogach, obudziłem Pawła, upakowałem rzeczy i we dwie godziny potem, wsiedliśmy obaj do pociągu, co ku Francji zmierzał.

### III.

Zdarzyło się, iż w następnym roku, o tejże samej porze — jakby febra powracająca peryodycznie — oparowała mnie znowu chęć zobaczenia Włoch. Postanowiłem puścić się niezwłocznie w podróż, bo zwiedzenie Florencyi, Wenecyi i Rzymu, jest koniecznym warunkiem edukacyi dobrze wychowanego człowieka. Zresztą, dostarcza nam to w towarzystwach mnóstwa przedmiotów do rozmowy i daje możność prawienia komunałów artystycznych, które mają zawsze pozory głębokości.



Tym razem wybrałem się sam jeden i przybyłem do Genui o tej samej godzinie, co poprzedniego roku, ale bez żadnej przygody w podróży. Stałem na noc w tymże samym hotelu i szczególnym trafem, dostał mi się ten sam pokój!

Lecz zaledwie położyłem się do łóżka, wspomnienie Franceski, które zresztą od wczoraj rysowało się mglisto w mym umyśle, zaczęło mię prześladować z dziwną uporczywością.

Czy znasz to napastowanie cię kobiety, po upływie długiego czasu, gdy się powraca do miejsc, gdzie się ją kochało i posiadało?

Jest to jedno z najgwałtowniejszych i najprzykrzejszych wrażeń, jakie znam. Zdaje nam się, że wejdzie, uśmiechnie się, wyciągnie ręce. Obraz jej, nikły a wyraźny, jest przed nami, przechodzi, wraca i ulatnia się. Męczy nas jak zmora, trzyma, zapełnia serce, wzburza zmysły swą nierzeczywistą obecnością. Oko ją dostrzeżga, woń jej prześladowuje; masz na ustach smak jej pocałunków i na skórze pieszczotliwe dotknięcie jej rąk. Jednakże jesteś sam jeden, wiesz o tem i to wywołane widmo sprawia ci dotkliwe cierpienie. Ogarnia cię smutek ciężki, rozpaczliwy. Zdaje ci się, że tylko co opuścił cię ktoś na zawsze. Wszystkie przedmioty powlekają się kirem, budzą w duszy, w sercu okropne wrażenie i osamotnienia pustki. O, nie wracaj nigdy do miasta, do domu, pokoju, lasu, ogrodu, ławki — gdzieś trzymał w objęciach ukochaną kobietę!

Jednem słowem, całą noc dręczyło mię wspomnienie Franceski i zwolna rozbudzała się we mnie chęć ujrzienia jej, chęć — z początku niewyraźna, potem żyw-

sza, ostrzejsza, pałaca. Postanowiłem zostać przez następny dzień w Genui, żeby ją wynaleźć. W razie gdyby me starania okazały się daremnemi, miałem odjechać wieczornym pociągiem.

Skoro więc nastał ranek, przystąpiłem do poszukiwania. Doskonale pamiętałem wskazówki, jakie mi dała na odchodnem: Viktor-Emanuel,—pasaż Falcone, przecznica Saint-Raphaël, dom meblarza, w głębi dziedzińca, w prawej oficynie.

Nie bez trudu znalazłem to wszystko i zapukałem do drzwi jakiejś rudery. Wyszła otworzyć ogromnych rozmiarów kobieta, która musiała być kiedyś bardzo piękna, ale teraz była już tylko bardzo brudna. Chociaż za tłusta, zachowała jednak rysy dziwnie majestatyczne. Kosmyki roztarganych włosów spadały jej na czoło, na ramiona i widać było, poprzez szeroki i zaplamiony szlafrok, falowanie jej potężnych wdzieków, miała ogromny naszyjnik pozłacany i na obu rękach prześliczne bransolety z filigranu genueńskiego.

— Czego pan sobie życzy?—zapytała niechętnie.

Odrzekłem:— Czy nie tu mieszka panna Francesca Rondoli?

— Jaki pan masz interes do niej?

— Miałem przyjemność spotkać się z nią przeszłego roku i pragnąłbym ją zobaczyć.

Stara świdrowała mię podejrzliwem okiem:

— Powiedz mi pan, gdzieś się z nią spotkał?

— Ależ tutaj, w Genui.

— Jak się pan nazywasz?

Po chwili wahania, powiedziałem nazwisko. Usłysawszy je, wyciągnęła ramiona, jakby do uścisku:



— Ach! to pan jesteś tym francuzem, jakżem rada, że cię widzę! Ach, jakim rada! Ale jaką przykrość sprawiłeś pan temu biednemu dziecku! Czekala cały miesiąc, tak — cały miesiąc. Pierwszego dnia sądziła, że przyjdiesz po nią. Chciała się przekonać, czyś ją kochał! Żebyś pan wiedział, jak płakała, pomiarkowawszy, że nie przyjdiesz! Tak panie, zalewała się gorzkimi łzami. Potem poszła do hotelu. Jużes pan odjechał! Wtedy zaczęła przypuszczać, że podróżujesz po Włoszech i że wracając na Genuę, odszukasz ją, kiedy niechciała pojechać razem. I czekała, tak — czekała przeszło miesiąc. I bardzo była smutna, bardzo smutna. Ja jestem jej matką.

Przyznaję, żem się zmieszał trochę, ale ochłonawszy prędko, zapytałem:

— Czy jest tu obecnie?

— Nie, panie, bawi w Paryżu, z malarzem, ślicznym chłopcem, który ją kocha, panie, kocha szalenie i wszystko daje, czego tylko może zapragnąć. Patrz pan, co ona przysłała mnie, matce swojej. Ładne — nieprawda?

Z prawdziwie południowem ożywieniem, pokazywała mi grube bransolety na rękach i ciężki naszyjnik.

— Mam także dwa kolozyki z kamieniami, — opowiadała dalej — i suknię jedwabną i pierścionki, ale ich nie noszę rano, dopiero po południu, kiedy się ubieram staranniej. O! bardzo jest szczęśliwa, panie, bardzo szczęśliwa. Jak ją to ucieszysz, gdy napiszę, żeś tu był. Ale wejdźże pan, usiądź. Może się pan czem ochłodzi, proszę wejść.

Odmawiałem, chcąc zaraz wyjechać najpierwszym

pociągiem, ale pochwyciła mię za rękaw i oiągnęła ku sobie, powtarzając:

— Niechże pan będzie łaskaw wejść, muszę jej donieść, żeś był u nas.

Wszedłem nareszcie do salki dosyć ciemnej, gdzie był stół i kilka krzeseł.

— Wtenczas, kiedyś się pan z nią spotkał na kolei, miała duże zmartwienie. Przyjaciel ją opuścił w Marsylii i powracała, biedna dziewczyna. Ona pokoochała pana odrazu, ale była jeszcze trochę zasmucona; to bardzo naturalne. Teraz na niczem jej nie zbywa; donosi mi o wszystkim, co się z nią dzieje. To niejaki pan Bellemin; powiadają, że jest u was wielkim malarzem. Przejeżdżając tędy, spotkał ją na ulicy i odrazu się w niej rozkochał. Wszak pan wypijesz szklaneozkę syropu? Bardzo dobry. Czyś pan sam jeden tego roku?

— Tak, sam jeden — odrzekłem.

Coraz większa ochętka do śmiechu ogarniała mię teraz, kiedy pierwsze wrażenie zawodu rozwiało się, wobec objaśnień pani Rondoli. Musiałem wypić szklankę syropu.

— Jakto, jesteś pan sam jeden? — mówiła dalej. — Ach, jakże mi żal, że tu już niema Franceski. Byłaby ci dotrzymywała towarzystwa przez cały czas pobytu w mieście. Niewesoło spacerować samemu i jej także będzie bardzo przykro.

Kiedym się podnosił z miejsca, zawołała:

— Ale jeśli pan chcesz, to Carlotta pójdzie; ona bardzo dobrze zna wszystkie spacery. To jest także moja córka, panie, druga.

Musiała wziąć moje zdumienie za znak przyzwo-

lenia: więc poskoczywszy do drzwi wewnętrznych, otworzyła je i zawołała, zwracając się do wschodów nienickających w ciemnościach:

— Carlota! Carlota! Zejdź prędko, chodź natychmiast, droga córko!

Chciałem zaprotestować, ale mi niepozwoliła.

— Nie, będziesz pan miał z niej towarzystwo, bardzo jest ładna i daleko weselsza od tamtej. To dobra dziewczyna, bardzo dobra i bardzo ją kocham.

Słyszałem na wschodach wlokące się pantofle i ukazała się dziewczyna wysoka, smągła, szczupła i ładna, ale także rozczochrana i pozwalająca odgadywać pod starą suknią matki, ciało swe młode i wysmukłe.

Pani Rondoli objaśniła ją natychmiast, kto jestem:

— To francuz Franceski, wiesz, ten z przeszłego roku. Przyszedł po nią, bo jest sam jeden, biedak. Powiedziała mu, że z nim pójdiesz dla towarzystwa.

Carlota patrzyła na mnie swem pięknem, oiemnem okiem i uśmiechając się, rzekła:

— Jeśli ten pan chce, to i ja także.

Jakże było odmówić? Odpowiedziałem:

— Ależ naturalnie, bardzo proszę.

Wtedy pani Rondoli wypchnęła ją z pokoju:

— Idź się ubrać, tylko spiesz się; weź na siebie suknię błękitną i ten kapelusz z kwiatami, spiesz się.

Jak tylko córka wyszła, mówiła znowu:

— Mam ich jeszcze dwie, ale mniejsze. To drogo kosztuje, wierzaj pan, wychować czworo dzieci! Na szczęście, najstarsza już jest postanowiona.

Potem opowiadała mi o swoim życiu, o mężu, któ-

ry umarł, będąc urzędnikiem przy kolei i o wszystkich przymiotach swej drugiej córki, Carloty.

Powróciła ona ubrana z tymże samym smakiem, oo starsza siostra, w suknię jaskrawą i zwracającą uwagę.

Matka, obejrzawszy ją od stóp do głów, z widocznem zadowoleniem, rzekła do nas:

— Idźcież teraz, moje dzieci.

A zwracając się do córki, dodała:

— Tylko nie wróć później, jak o dziesiątej wieczorem, bo wiesz, że brama będzie potem zamknięta.

— Nie bój się, mamó—odparła Carlota.

Wzięła mię pod rękę i znów włożyłem się z nią po mieście, jak z jej siostrą, przeszłego roku.

Wróciliśmy do hotelu na śniadanie; poczem zawiozłem mą nową przyjaciółkę do Santa Margarita, wznawiając ostatni spacer, odbyty z Franceską.

Wieczorem zaś, nie wróciła o dziesiątej do domu, jakkolwiek brama miała być później zamknięta.

W ciągu tych dwóch tygodni, jakie miałem do rozporządzenia, obwoziłem Carlotę po okolicach Genui. Nie dała mi powodu załować tamtej.

Kiedym miał odjechać, zostawiłem ją rano całą w łzach, obdarzwszy upominkiem i w dodatku czterema bransoletkami dla matki.

Obiecuje sobie wkrótce znowu odwiedzić Włochy, myśląc o tem z niejaką obawą nie pozbawioną nadziei, że pani Rondoli ma jeszcze dwie córki.

## PANI GOSPODYNI.

Mieszkałem wówczas w domu umeblowanym, przy ulicy des Saints-Pères—opowiadał Jerzy Kervelen.

Gdy rodzice postanowili, że pojedę na studia prawne do Paryża, nastąpiły długie rozprawy, dotyczące szczegółów urzędzenia. Z początku przeznaczano mi pensyi rocznej dwa tysiące pięćset franków, ale moją biedną matkę ogarnęła obawa, z którą zwierzyła się przed mężem: „Gdyby przypadkiem robił zły użytek pieniędzy i nie odżywiał się dostatecznie, wpłynęłoby to bardzo źle na jego zdrowie; a młodym ludziom nie-raz się to zdarza”.

Po naradzie umyślono mi więc wyszukać jaką skromną, lecz wygodną pensyę, za którą rodzice mieli co miesiąc płacić osobiście.

Po raz pierwszy wyjeżdżałem z Quimper; pragnąc tego wszystkiego, czego się pragnie w tym wieku; obiecywałem sobie żyć wesoło na wszelkie sposoby.

Sąsiedzi, których rady zasiągnięto, wskazali ziomkę swoją, panią Kergaran, przyjmującą pensyonarzy; wtedy ojciec mój porozumiał się listownie z tą szanowaną osobą i pewnego wieczoru przybyłem do niej wraz z kufrem.



Pani Kergaran miała około lat czterdziestu; tuszy była tęgiej, bardzo tęgiej; mówiła głosem kapitana uczącego manewrów wojskowych i o każdej sprawie wyrokowała zwięźle, jasno i stanowczo. Domek jej bardzo wązki od ulicy, bo z jednym tylko oknem na każdym piętrze, wyglądał jak drabina z okiem, albo jak butersznit między dwoma innymi budynkami.

Pani gospodyni mieszkała na pierwszym piętrze ze służącą, gotowało się i jadało na drugim; czterech pensjonarzy bretończyków zajmowało trzecie i czwarte, ja zaś piąte, złożone z dwóch pokojów.

Wschodki ciemne i kręcone jak grajcarek, prowadziły do tych izdebek na poddaszu. Pani Kergaran chodziła po tej drabinie cały dzień, bezustanku, to na górę—to na dół, tak zajęta w tych szufladkowych mieszkankach, jak kapitan na pokładzie swego okrętu. Raz po raz, dziesięć razy zjawiała się w każdym lokalu, miała nadzór nad wszystkim, obracając językiem jak młyn; oglądała czy łóżko dobrze posłane, czy odzież należycie oczyszczona, czy pokoje porządnie sprzątnięte. Jednym słowem, po macierzyńsku troszczyła się o swych pensjonarzy, a nawet więcej.

Zapoznałem się w prędocie z mymi czterema ziomkami: dwóch uczyło się medycyny, a dwóch prawa; wszyscy zaś znosili despotyczne jarzmo pani gospodyni, bojąc się jej jak zbieg strażnika pól.

Co do mnie, odrazu uczułem pociąg do niezależności, będąc niesfornym z natury. Zacząłem od oznajmienia, że chcę wracać do domu, kiedy mi się spodoba, chociaż pani Kergaran nie pozwalała przekraczać pół-

nocy. Posłyszawszy te moje roszczenia, przez kilka minut wpatrywała się we mnie, poczem rzekła :

.... Niepodobna. Nie mogę na to pozwolić, żeby budzono Anusię całą noc. Zresztą, nie masz pan już co robić na mieście po tej godzinie.

Odpowiedziałem jej na to stanowczym tonem:

— Według prawa, pani jesteś obowiązana otwierać mi o którejś godzinie. W razie odmowy, wezwę policyanta, żeby spisał protokół i pójdę przenocować w hotelu na koszt pani, bo służy mi to prawo. Będiesz więc musiała otworzyć, albo mnie odprowadzić. Drzwi albo rezstanie—wybieraj pani!

Śmiałem jej się w oczy, stawiając te warunki. Ochłonawszy z osłupienia, chciała wejść w układy, ale gdym się okazał nieugięty, musiała ustąpić i stanęło na tem, że będę miał klucz, ale pod warunkiem, że się nikt o tem nie dowie.

Energia moja sprawiła na niej zbawienne wrażenie i odtąd doznawałem szczególnych łask od niej. Miała dla mnie względy, nadskakiwała mi, dogadzała, zachowując przytem jakąś szorstką czułość, sprawiającą na mnie miłe wrażenie. Czasami w chwilach dobrego humoru, pocałowałem ją z nienacka, jedynie dla tęgiego policzka, jakim mi się zaraz odplącała. Jeśli mi się udało nachylić dosyć prędko głowę, to ręka jej w rozpędzie mijała po nad głową, nakształt piłki i uciekając, śmiałem się jak szalony, ona zaś krzyczała:

— Aa, kanalia! Ja ci to odplączę.

Zawiązała się między nami przyjaźń.

Ale przypadek zrządził, że m się poznał na ulicy z pewną panią, pracującą w magazynie.

Wiesz co to są te miłości paryzkie. Idąc pewnego dnia do szkoły, spotykasz młodą osobę, z gołą głową, spacerującą pod rękę ze swą przyjaciółką, zanim znów zasiądziesz w domu do pracy. Zamieniasz z nią spojrzenie i doznajesz tego lekkiego wstrząśnienia, jakie w nas wzbudza oko pewnych kobiet. Jest to jeden z powabów życia, te doraźne sympaty fizyczne, zradzające się przy spotkaniu, ta subtelna, delikatna przyjęta, jakiej się ulega za lekkim dotknięciem istoty stworzonej na to, by ci się podobać i miłość wzbudzać w tobie. Mniejsza o to, czy kochaną będzie słabo czy silnie. Jest to w jej naturze odwzajemniać się za skrytą żądzą miłości z twojej strony. Od pierwszego razu, gdyś zobaczył tę twarz, te włosy, ten uśmiech, urok ich przenika cię radością słodką i rozkoszną. Czujesz, że cię opanowują jakiś dobrobyt błogi i nagle rozbudzająca się, niejasna jeszcze tkliwość, co cię przez ku tej kobiecie nieznanej. Zdaje się, jakoby się w niej odzywało wołanie, na które odpowiadasz, siła magnetyczna, której ulegasz; zdaje ci się, że ją znasz oddawna, żeś ją widział już, że wiesz, co ona myśli.

Nazajutrz, o tej samej godzinie, przechodzisz przez tę samą ulicę; spotykasz ją, powracasz znów nazajutrz i następnego dnia. Nareszcie przemawiacie do siebie i miłość ta rozwija się prawidłowo, jak choroba.

Otóż, po upływie trzech tygodni, byliśmy z Emmą w fazie poprzedzającej upadek. A nawet upadek ten byłby nastąpił prędzej, alem nie wiedział, gdzieby go wywołać. Przyjaciółka moja mieszkała przy rodzinie i ze szczególną energią upierała się, że nie przestąpi

progu hotelu umeblowanego. Suszyłem sobie głowę, żeby wymyśleć jakiś sposób, podstęp, sposobność. Nareszcie uczyniłem rozpaczliwe postanowienie przyprowadzić ją do siebie, którego wieczoru, około jedenastej, pod pozorem poczęstowania filiżanką herbaty. Pani Kergaran kładła się codzień o dziesiątej; mogłem więc wrócić do domu, bez hałasu, przy pomocy klucza i nie zwracając niczyjej uwagi. W godzinę lub dwie, zeszlibyśmy w tenże sam sposób.

Emma przyjęła moje zaproszenie, podrożywszy się z sobą trochę.

Męczący był to dzień; byłem niespokojny, lękałem się złego zbiegu okoliczności, katastrofy, jakiegoś okropnego skandalu. Gdy nastąpił wieczór, udałem się do piwiarni, gdzie dla dodania sobie odwagi, połknąłem dwie filiżanki kawy i cztery czy pięć kieliszczków. Potem przeszedłem się po bulwarze Saint-Michel. Wybiła dziesiąta, wpół do jedenastej... Powolnym krokiem zacząłem więc zmierzać ku umówionemu miejscu. Czekala już na mnie: wzięła mię pieszczotliwie pod rękę, szliśmy powolutku do mego mieszkania. W miarę jakem się zbliżał do drzwi, niepokój mój wzrastał. Myślałem ciągle: Byleby pani Kergaran leżała już w łóżku.

Dwa czy trzy razy powtarzałem Emmie:

— Tylko pamiętaj zachować się oicho na schodach.

Roześmiała się:

— Czy się tak bardzo boisz, żeby cię nie usłyszano?

— Nie, ale niechoę obudzić mego sąsiada, który jest bardzo chory.

Otóż i ulica des Saints-Pères. Dochodzę do mieszkania przejęty taką obawą, jak gdybym szedł do dentysty. We wszystkich oknach ciemno. Pewnie już śpią. Oddycham. Otwieram drzwi ostrożnie jak złodziej. Wprowadzam mą towarzyszkę, zamykam drzwi, wchodzę na górę na palcach, powstrzymując oddech i rozpalam zapalkę, żeby się panienka nie potknęła.

Przechodząc koło drzwi pani gospodyni, uczułem gwałtowne bicie serca. Nakoniec jesteśmy na drugim piętrze, potem na trzecim i nareszcie na piątym. Wchodzę do siebie. Victoria!

Jednakże, mówiłem półgłosem i zdjąłem buty, żeby się oicho sprawić. Herbatę ugotowaną na maszynie spirytusowej, wypiliśmy na rogu komody. Następnie zacząłem nalegać... bardzo nalegać... Opierała się, zaczerwieniona, pomieszana, odwołując ciągle stanowczo, a uroczą chwilę, kiedy nagle otworzyły się moje drzwi i weszła pani Kergaran ze świecą w ręku, w takim samym stroju, jak Emma.

Odskokczywszy jednym susem od niej, stałem zmieszany, spoglądając na obydwie kobiety, które przypastrywały się sobie. Co też to z tego będzie?

Pani gospodyni rzekła wyniosłym, a nieznanym mi tonem:

— Nie chcę kokotek w moim domu, panie Kervelen. Ja zaś bąknąłem:

— Ależ, pani Kergaran, ta panienka jest tylko przyjaciółką moją. Przyszła na filiżankę herbaty.

Gruba jejmość odezwała się na to:



— Nikt się nie neglizuje, żeby wypić filizankę herbaty. Wypraw pan natychmiast tę osobę.

Emma zaczęła płakać ze wstydu, spódnicą zasłaniając sobie twarz. Ja straciłem głowę; niewiedziałem co robić i co mówić.

Pani gospodyni dodała z imponującą powagą:

-- Pomóż pan tej pannie i odprowadź ją natychmiast.

Zaprawdę, nie pozostawało mi nic innego do zrobienia, podniosłem więc suknię, co z niej spadła, na posadzkę, okrągłą jak balon pęknięty i włożyłem ją pannie przez głowę; potem z największą biedą usiłowałem pozapinać haftki, poszczepiać wszystko. Ona mi pomagała płacząc ciągle, odchodząc od przytomności, spiesząc się, myśląc na różne sposoby, nie mogąc natrafić na sznurki i pętelki. Pani de Kergaran stała tymczasem nieruchomie i przyświecała nam w surowej postawie wyrokującego sędziego.

Emma miała ruchy gorączkowe, przysłańiała się z szalonym pośpiechem, zawiązywała, wpinała szpilki, sznurowała, ściągała, kipiąc, podżegana gwałtowną ochcią wymknięcia się ztamtąd. Niezapiąwszy nawet bucików na guziki, przebiegła koło pani gospodyni i wypadła na wschody. Ja, idąc w ślad za nią w pan toflach, powtarzałem:

— Niechże mię pani wysłucha, proszę pani.

Czułem, że muszę jej coś powiedzieć, ale mi nic nie przychodziło na myśl. Dogoniwszy we drzwiach prowadzących na ulicę, chciałem ją wziąć pod rękę, ale mię odepchnęła gwałtownie, bełkocąc po cichu nerwowym głosem:

— Zostaw mię pan... zostaw... nie dotykaj mię.

I uciekła na ulicę, zamknąwszy drzwi za sobą.

Odwróciłem się: pani Kergaran stała na pierwszym piętrze, wszedłem na wschody powolnym krokiem, wszystkiego się spodziewając i na wszystko przygotowany.

Pokój pani gospodyni był otwarty: kazała mi tam wejść, dodając tonem surowym:

— Choć z panem pomówię, panie Kervelen.

Wszedłem przed nią ze spuszczoną głową. Postawiwszy świecę na kominku, skrzyżowała ręce na potężnej piersi, niezupełnie przysłoniętej cienkim białym kaftanikiem.

— Co to znaczy, panie Kervelen, uważasz chyba mój dom za publiczny.

Nie stawiając się zuchwale, wyszeptalem:

— Ależ nie, pani Kergaran. Niechże się pani nie gniewa... przecież pani wie, co to jest być młodym chłopcem.

Odrzekła: — Ja wiem to, że niechoć kobiet złego prowadzenia u siebie, rozumiesz pan? Ja wiem to, że mój dach, imię mego domu, muszą być szanowane, rozumiesz pan? Ja wiem...

Mówiła przynajmniej przez dwadzieścia minut, piętrząc rozumowania, wykrzyki oburzenia, przytłaczając mię szanownością swego domu, kłując dotkliwymi wymówkami.

Ja (człowiek jest znakomitem zwierzęciem) zamiast słuchać, patrzyłem na nią. Nieśłyszałem już ani słowa, ale to — ani słowa. Miała przepyszną pierś babina, krzepką, białą i tłustą, może trochę za wielką, ale tak

powabną, że aż dreszcze przechodziły po plecach. Doprawdy, nigdybym nieodgadł, że się takie rzeczy znajdują pod wełnianą suknią pani gospodyni. W negliżu tem zdawała się młodszą o lat dziesięć. Byłem jakiś... jakiś... jakby to powiedzieć... cały wzburzony. Naraz— znalazłem się wobec niej w tem samym położeniu, co przerwaniem zostało przed kwadrans w moim pokoju.

A po za nią, tam, w alkwie, miałem przed oczami jej łóżko. Było ono odsłonięte, zgniecione, zdradzając dołem wylezanym na pościeli, jaki ciężar na niej spoczywał. Myślałem sobie, że tam musi być bardzo miło i bardzo ciepło, cieplej niż w innem łóżku. Dlaczego cieplej? Niewiem: pewno z powodu obfitości ciała co tam zwykło leżeć.

Jestże co bardziej wzburzającego i powabniejszego, jak łóżko posłane? To—upajało mię zdaleka, przechodziły mię dreszcze po całym ciełe.

Ona ciągle jeszcze mówiła, ale już teraz łagodnie, jako ostra lecz życzliwa przyjaciółka, której jest pilno wybaczyć.

Ja zaś bąkałem: — Ależ... pani Kergaran... dosyć już... dosyć... Gdy umilkła oczekując mej odpowiedzi, porwałem ją w objęcia i zacząłem całować choiwie, jak człowiek oddawna tego spragniony.

Broniła się, odwracała głowę, niegniewając się jednak bardzo i machinalnie powtarzała: zwykle swoje:

— Ach, kanalia!... kanalia... ka...

Nie mogła dokończyć tego wyrazu, porwałem ją bowiem nagle i unosiłem, przyciśniętą do piersi. W pewnych chwilach, miewamy osobliwe siły!

W godzinę, potem ponieważ świeca zgasła, pani gospodyni wstała, żeby zapalić drugą, a gdy powróciła, wsuwając pod prześcieradło swą nogę zaokrągloną i tęgą, rzekła głosem pieszczotliwym, zadowolonym, może i wdzięcznym:

— Ach!... kanalia!... kanalia!...

## BECZUŁKA.

Chicot, oberzysta z Epreville zatrzymał swą karyolkę na folwarku matki Magloire. Czerdziestoletni ten zuch, czerwony, brzuchaty, uchodził za wielkiego figlarza.

Przywiązawszy konia do płotu, wszedł na podwórze. Miał on posiadłość przylegającą do gruntów tej starej jejmości, na które oddawna czuł chętkę. Ze dwadzieścia razy zaczepiał o kupno, ale mu uparcie odpowiadała:

— Tu się urodziłam i tu chcę umrzeć.

Zastał ją skrobiącą kartofle przed domem: chociaż miała lat siedemdziesiąt dwa i była sucha, pomarszczona, zgarbiona, nieustawała w pracy, jakby młoda dziewczyna. Chicot przyjaźnie poklepał ją po plecach i usiadł obok niej na stołku.

— Cóż, matko,—zdrowie zawsze wam służy?

— Jako tako; a jakże wy się macie, panie Prosperze?

— Czasem co i zaboli — gdyby nie to, czułbym się doskonale.

— Temci lepiej.

Nie powiedziała nic więcej. Chicot przyglądał się zajęciu starej. Jej palce koszlawe, sękaty, twarde jak



u kraba, chwytaly niby w kleszcze, szare ziemniaki z podłużnego kosza; obracała je dokoła, prędko obrzynając starym nożem długie kawały łupiny, a gdy kartofel był już całkiem żółty, rzucała go w cebrzyk z wodą. Trzy zuchwałe kury przychodziły zbierać te obierzyny aż koło jej spódnicy, uciekając potem z łupem w dziobie, ile sił starczyło.

Chicot zdawał się jakiś nieswój, wahający, niespokojny; widocznie miał coś na końcu języka, a nieśmiało powiedział. Nareszcie zdecydował się:

— Słuchajcie, matko Magloire...

— Czegoż to chcecie, panie Prosperze?

— Nie sprzedacie mi tego folwarku?

— O, co to, to nie! Nie rachujcie na to. Nie—i nie, więcej mi o tem nie wspominajcie.

— Alebom ja obmyślił taką ugodę, że oboje wyszlibyśmy dobrze.

— Jakaż to ugoda?

— Oto tak: sprzedacie mi go, ale nie oddacie. Nie rozumiecie? Słuchajcież uważnie.

Stara, przestawszy obierać kartofle, wlepiła w oberzystę oczy żywo błyskające z pod zwiędłych powiek.

— Wytłumaczę wam — rzekł Chicot — co miesiąc wypłacę wam sto pięćdziesiąt franków, rozumiecie. Co miesiąc przywiozę wam tutaj, tą karyolką, trzydziści talarów po sto su. I nic się więcej nie zmieni, nic a nic. Będziecie tu sobie siedzieć, o mnie się nie nie kłopotać, długu względem mnie nie zaciągniecie. Tylko pieniądze moje będziecie brali. Zgoda?

Spoglądał na nią wesoło z miną zadowolnioną.

Stara słuchała podejrzliwie, starając się dopatrzeć zasadzkę.

— To dla mnie—rzekła po chwili—ale cóż dla was? Folwark przez to nie będzie waszym.

— Nie troszcze się o oto — mówił dalej.—Pozostaniecie tu, póki wam Pan Bóg udzieli życia. Jesteście u siebie. Tylko napiszecie mi na kawałku papieru u notaryusza, że po was przejdzie on na mnie. Nie macie dzieci, tylko siostrzeńców, którzy was niewiele obchodzą. Cóż, zgoda? Będziecie mieli swoją własność do końca życia i będę wam dawał trzydzieści talarów miesięcznie. Wszakże to niezły interes.

Stara była zdziwiona i zaniepokojona, ale ją to kusilo.

— Nie odmawiam—odrzekła — ale się chcę zastanowić. Przyjeźdź pan w przyszłym tygodniu, to usłyszysz odpowiedź.

Chicot odjechał, uradowany jak król, który państwo zawojował.

Matka Magloire pogrążona była w myślach; w nocy spać nie mogła i przez dni cztery gorączkowała ją niepewność. Przewąchiwała coś złego dla siebie, ale owe trzydzieści talarów miesięcznie, owe piękne brzęczące pieniądze, coby jej do fartuszka spadły jak z nieba, bez żadnego trudu, wzniecały w niej nurtującą żądzę.

Udała się więc do notaryusza i opowiedział rzecz całą. Doradził jej on przystać na propozycję Chicota, lecz z żądaniem pięćdziesięciu talarów po stu su, zamiast trzydziestu, na tej zasadzie, że jej folwark wart jest co najmniej sześćdziesiąt tysięcy franków.

— Nawet gdybyś pani żyła jeszcze lat piętnaście— powiedział—zapłaci on w ten sposób tylko czterdzieści pięć tysięcy franków.

Stara zadrżała na tę perspektywę pięćdziesięciu talarów po sto su miesięcznie; ale niedowierzała jeszcze, lękając się tysiąca rzeczy nieprzewidzianych, podstępów skrytych. Pozostała tam do wieczora, wpytując ciągle i niemogąc się zdecydować odejść. Nareszcie zażądała sporządzenia aktu i wyszła tak odurzona, jakby po czterech kufiach młodego cydru.

Gdy Chicot przybył po odpowiedź, dała się ona długo jeszcze prosić, wzdragała się, ale z tajemną obawą, że gotów nie przystać na wypłacanie owych pięćdziesięciu sztuk, po sto su.

Nakoniec gdy bardzo nalegał, przedłożyła mu swe wymagania.

Podskoczył aż w górę, tak go to niemile zadziwiło i odmówił.

Żeby go nakłonić, zaczęła wtedy dowodzić, że prawdopodobnie już niedługo będzie żyła.

— Nie pozostaje mi już jak pięć lub sześć lat, to pewna; mam siedemdziesiąt trzy i siły niewielkie. Któregos wieczoru myślałam, że już umieram. Zdawało mi się, że mi wyróżniają ciało. Trzeba mię było zanieść nawet na łóżko.

Chicot nie dał się złapać.

— No, no, dajcie pokój, tęgo się jeszcze trzymacie. Będziecie żyli, co najmniej lat sto dziesięć i mnie jeszcze pogrzebiecie.

Cały dzień zmitrężyli na sporach; ale gdy stara nie

ustąpiła, oberżysta przyrzekł w końcu wypłacać pięćdziesiąt talarów.

Nazajutrz podpisali akt; a matka Magloire zażądała dziesięć talarów na szpilki.

Upłynęło lat trzy; kobiecina zdrowa była jak rydz, rzekłbyś, że jej ani jeden dzień nie przybył. Chicot rozpaczał. Zdawało mu się, że wypłaca procent od pół wieku, że został oszukany, zrujnowany. Od czasu do czasu odwiedzał fermierkę, jak to się w pole idzie w lipou, żeby zobaczyć czy zboże już dojrzałe do kosy. Witła go ze złośliwym spojrzaniem, rada ze splątanego figla. Chicot wsiadł czemprowadz do karyolki, mrużąc: „Ty chyba nigdy nie zdechniesz, szczapole!”

Nie wiedział, co robić. Ile razy zobaczył starą, brała go chęć ją zadusić. Czuł dla niej nienawiść dziką, skrytą, nienawiść chłopa okradzonego.

Zaczął rozmyślać, na jakiby się wziąć sposób.

Pewnego dnia nareszcie, przyjechał znów, zacieraając ręce, jak kiedy jej pierwszy raz zaproponował interes i po kilku minutach rozmowy, rzekł:

— Słuchajcie, matko, dlaczego nie przychodzicie do nas na obiad, będąc w Epreville. Ztąd plotki powstają. Ludzie mówią, że się z sobą gniewamy, a mnie to boli. Nic mi nie zapłacicie. Ja nie załużę obiadu. Ile razy zechocicie, przyjdźcie bez ceremonii, będę rad bardzo.

Matka Magloire nieomieszkała skorzystać z zaprosin i na trzeci dzień, udając się na targ swą karyolką, którą powoził parobek Celestyn, umieściwszy konia w stajni Chicota, przymówiła się o przyobiecany obiad.

Uradowany oberżysta, raczył ją jakby damę, kurczęciem, kiszka, kiełbasą, baraniną i kapustą ze sło-

niną. Ale prawie nic nie jadła, gdyż wstrzemięźliwa od dzieciństwa, żywiła się tylko zupą i kawałkiem ohleba z masłem.

Chicot zawiedziony, nalegał. Nie piła też nic; nawet kawy niechoiała. Zapytał:

— Ale przecież wypijecie kieliszek?

— Aa, co to, to chętnie. Tego nie odmówię.

Huknął wtedy na całe gardło, aż się rozlegało w oberży:

— Rozalio, przynieś wyborową najlepszą.

Służąca ukazała się z długą butelką, przyozdobioną liściem winnym z papieru.

Nalał dwa kieliszki.

— Skosztujcie, matko—to wyborowa.

Kobiecina zaczęła pić zwolna, po małym łyku, żeby przedłużać tę przyjemność. Wysłuchawszy kieliszek co do kropli, zawyrokowała:

— Niema co mówić, przednia.

Jeszcze niedopowiedziała tych słów, kiedy Chicot nalał jej drugi kieliszek. Choiała odmówić, lecz było zapóźno; więc jak pierwszy tak i ten wypić powoli.

Chciał nalać trzeci raz, ale się wzbraniała. Zaczął przekonywać:

— Ależ to mleko, patrzcie, ja wypijam dziesięć, dwanaście, bez obawy. To się przelyka jak cukier. Nie czuje się ani w żołądku, ani w głowie, jak gdyby się ulatniało na języku. Jedyne dla zdrowia!

Mając wielką chętkę, skusiła się, ale tylko na pół kieliszeczka.

Wtedy Chicot, uniesiony wspaniałomyślnością, wykrzyknął:



— Kiedy wam smakuje, dam wam beczułkę całą, żeby wam pokazać, że nas zawsze przyjaźń łączy.

Kobiecina nieodmówiła i wybrała się do domu trochę podchmielona.

Nazajutrz, oberżysta zajechawszy na podwórze matki Magloire, wydobył z karyolki beczułkę z obręczą żelazną i prosił, żeby skosztowała, dla przekonania się, że to ta sama wyborowa. Gdy wypili po trzy kieliszki, rzekł odjeżdżając:

— Pamiętajcie, że jak zbraknie, to u mnie znajdzie się więcej, powiedzcie mi tylko bez ogródki. Jam nie skąpy. Im prędzej wypijecie, tem bardziej będę rad.

Po tych słowach, wsiadł do karyolki.

Po upływie dni czterech, znowu przyjechał. Stara siedziała przed domem, zajęta krajaniem chleba do zupy.

Witając ją, zbliżył się bardzo, żeby poczuć jej oddech i uderzył go zapach alkoholu. Rozjaśniła mu się twarz...

— Poczęstujecie mnie kieliszkiem?—zapytał.

I znowu sobie dolewali dwa, czy trzy razy.

Wkrótce rozeszła się po okolicy wieść, że matka Magloire upija się sama jedna. To ją kto podniósł w kuchni, to na podwórzu, to gdzieś na pobliskiej drodze i trzeba ją było odnosić do domu, martwą jak trup.

Chicot nie jeździł już do niej i skoro mu wspomnia no o tej chłopce, mrucał z zasmuconą twarzą:

— Nie jestże to nieszczęście, żeby na starość popaść w taki nałóg; a w tym wieku niema ratunku. To się źle skończy!

---

Rzeczywiście, skończyło się źle. Umarła następnej zimy, około Bożego Narodzenia, upadłszy po pijanemu na śnieg.

Chicot odziedziczywszy folwark, rzekł:

— Ta baba, gdyby się nie rozpiła, gotowaby żyć jeszcze z dziesięć lat.

---

## ON ?

Drogi mój przyjacielu, nie możesz mię zrozumieć? Pojmuję to dobrze. Myślisz, że waryat? Może nim jestem trochę, ale nie z tych przyczyn, jak ci się zdaje.

Tak, żenię się.

Jednakże idee moje i przekonania nie uległy zmianie. Kojarzenie się legalne poczytuję za głupstwo. Pewien jestem, że na dziesięciu mężów, ośmiu ma rogi. I zasługują na to, kiedy byli tak niedorzeczni, że zawiązali sobie życie, wyrzekli się wolnej miłości, jedynej rzeczy na świecie dobrej i wesołej, obojętli skrzydła fantazyi, która nas prze ciągle do wszystkich kobiet i t. d. Więcej niż kiedykolwiek czuję się niezdolnym kochać jedną kobietę, bo zawsze będę zanadto kochał wszystkie inne. Chciałbym mieć tysiąc ramion, tysiąc ust i tysiąc temperamentów, żeby mózg trzymał w objęciach odrazu cały legion tych istot uroczych.

A jednak — żenię się.

Dodać muszę, iż prawie nie znam tej, która jutro będzie żoną moją. Widziałem ją tylko cztery czy pięć razy. Wiem, że nie sprawia na mnie zbyt przykrego wrażenia i uznaję to za dostateczne, na swoje potrzeby. Jest ona mała, jasnowłosa i tłuściutka, pojutrze będę gwałtownie pożądał kobiety wysokiej, brunetki i szczupłej.

Nie jest bogatą i pochodzi ze średniej klasy. Jest ona jedną z tych panien, jakie w zwykłej burżuazyi napotyka się tysiące, dobra na żonę, bez przymiotów i wad bijących w oczy. Teraz mówią o niej: „Panna Lajolle jest milutka”. Jutro zaś mówić będą: „Bardzo jest miła pani Raymon”. Słowem, zalicza się do legionu tych uzoziwych dziewcząt, które uszczęśliwiają cię dopóki się nie przekonasz pewnego dnia, że każdą kobietę wolisz od tej, którąś sobie wybrał.

A więc, dlaczego się żenisz?—zapytasz.

Prawie nie śmiem wyznać dziwnej i nieprawdopodobnej przyczyny, tego niedorzecznego kroku.

Żenię się, żeby nie być sam jeden!

Niewiem jak to powiedzieć, jak się dać zrozumieć... będziesz czuł dla mnie i litość i pogardę, oplakany jest stan mego umysłu.

Niechoę pozostawać sam jeden, w nocy. Chcę czuć kogoś przy sobie, obok siebie — istotę, która może mówić, powiedzieć coś, byle co.

Chcę móżdż przerwać jej sen, znienacka zadać jej pytanie jakie, głupie pytanie, aby tylko usłyszeć jakiś głos, żeby czuć, że ktoś jest w mem mieszkaniu, że mam przy sobie żywą duszę, istotę rozumującą; aby widzieć twarz ludzką przy mym boku, zapaliwszy nagle świecę... bo... bo... (nie śmiem się przyznać, wstyd mi) bo... się boję, zostawać sam jeden!

Ach, ty mnie jeszcze nie rozumiesz.

Ja się nie boję niebezpieczeństwa. Gdyby wszedł jakiś ozłowiek, zabiłbym go bez drżenia. Nie boję się duchów, bo nie wierzę w zjawiska nadnaturalne. Nie

lękam się umarłych, bo wierzę w unicestwienie stanowcze każdej istoty znikającej!

A więc!... tak. A więc!... Ależ ja się boję — siebie samego! Boję się strachu, lękam się cierpień umysłu odchodzącego od przytomności; lękam się tego przerażającego uczucia trwogi niewytłómaczonej.

Śmieję się, jeśli chcesz. To jest okropne i nieuleczalne. Boję się ścian, mebli, przedmiotów znanych, które ozywają się dla mnie jakimś życiem zwierzęcem. Nade wszystko boję się tego, że mi się mąci myśl, rozum, który się wymyka—rozproszony, pod wpływem tajemniczej i niewidzialnej trwogi.

Czuję najpierw w duszy jakiś nieokreślony niepokój, od którego dreszcze przechodzą po skórze. Rozglądam się dokoła. Niema nic! Czy chciałbym, żeby co było? Cóż takiego? Coś zrozumiałego; bo się tego jedynie boję, że nie rozumiem mojej obawy.

Mówię, boję się mego głosu. Chodzę! boję się, że coś niewiadomego wyjdzie z po za drzwi, z po za firanek, z szafy, z pod łóżka. Jednak czuję, że nigdzie nic niema.

Oglądam się nagle, bo się boję tego, co jest za mną, chociaż tam nic niema i ja dobrze wiem o tem.

Miotam się, czuję, że moje pomieszczenie wzrasta; zamykam się w pokoju; wsuwam się do łóżka, chowam się pod kołdrę i przyczajony, zwinięty w kłębek, zamykam oczy desperacko i leżę tak bez końca, myśląc o tem ciągle, że się świeca pali na kominku i trzeba ją przecież zgasić, a niemam odwagi.

Prawda, że to okropny stan?

Dawniej nie doznawałem nic podobnego; spokojnie



powracałem do domu, przechadzałem się po mieszkaniu i nie nie zakłucało spokoju mej duszy. Gdyby mi powiedziano, jaka nieprawdopodobna, głupia i przerażająca choroba strachu opanuje mię kiedyś, śmiałybym się serdecznie. Otwierałem drzwi w ciemnościach, bez żadnej obawy; kładłem się zwolna, nie zasuważając ryglów i nie wstawałem wśród nocy, żeby się przekonać, czy wszystkie drzwi i okna w moim pokoju są szczelnie zamknięte.

Zaczęła się ta choroba przeszłego roku w osobliwy sposób:

Było to jesienią w pewien dżdżysty wieczór. Kiedy służąca moja odeszła po obiedzie, zacząłem rozmyślać co z sobą robić. Chodziłem jakiś czas po pokoju. Czulem się znużony, znękaný bez przyczyny, niezdolny do pracy, — a nawet i do czytania. Drobný deszczyk bił o szyby; bez powodu opanował mię smutek, pod wpływem którego chce nam się płakać i przemówić do kogobądź, aby się tylko otrząsnąć z przytłaczających myśli.

Czulem się osamotniony. Mieszkanie wydało mi się tak puste jak jeszcze nigdy. Otaczała mię samotność pobudzająca do rozkoszy. Co robić? Usiadłem. Rozdrażnienie nerwów zmusiło mię jednak, żebym się podniósł i zaczął chodzić na nowo. Miałem może trochę gorączki, bom zauważył, że ręce, które trzymałem z tyłu, jak się to często zdarza, gdy się przechadzamy powoli, palą jedna drugą.

Nagle, dreszcz zimny przeszedł mię po plecach. Myślałem, że wilgotne powietrze przenika do mieszkania, przyszło mi więc do głowy rozpalic ogień—pierw-

szy raz tego roku. Usiadłszy znowu, przyglądałem się płomieniom. Ale wkrótce podniosłem się, niemogąc usiedzieć na miejscu; czułem, że powinien wyjść, otrząsnąć się, zobaczyć się z którym z przyjaciół.

Wyszedłem, byłem u trzech kolegów, ale żadnego nie zastałem. Potem na bulwarze, zacząłem uporozywie szukać kogo ze znajomych.

W sęczeniu było smutno. Wilgotne chodniki błyszczały; ciepło wody, to ciepło, co cię nagle przejmuje dreszczem lodowatym, to ciężkie ciepło deszczu, co niewidzialnie przenika powietrze, ciężyło na ulicy, zdawało się osłabiać i przyćmiewać płomienie gazu.

Szedłem bez energii, powtarzając sobie: „Nie znaję nikogo do pogawędki”.

Przejrzałem kilka razy kawiarnie, od Magdaleny do przedmieścia Poissonnière. Przy stolikach siedzieli ludzie smutni i jakby niemający nawet siły spożyć tego, co przed nimi stoi.

Długo się tak wałęsałem i dopiero około północy puściłem się ku domowi, spokojny, lecz niezmiernie znużony. Odźwierny, który się kładzie przed jedenastą otworzył mi natychmiast, wbrew swemu zwyczajowi. „Cóż to! — pomyślałem — pewno inny lokator poszedł niedawno na górę”.

Wychodząc z domu, zamykam zawsze drzwi na dwa spusty, zadziwiłem się więc, zastawszy je tylko przymknięte. Przypuszczałem, że mi zanieśli listy w ciągu wieczora.

Wszedłem. Ogień palił się jeszcze i oświecał trochę pokój. Wziąłem świecę, żeby ją rozpałiło przy kominku, kiedy spojrzawszy przed siebie, spostrzegłem

kogoś co siedział na moim fotelu i grzał sobie nogi, odwrócony do mnie plecami.

Nie przeląkałem się, o! bynajmniej. Przemknęło mi przez głowę, to bardzo prawdopodobne przypuszczenie: „pewnie który z przyjaciół przyszedł mię odwiedzić”. Odzwierna, którą uprzedziłem wychodząc, że wrócę niezadługo, musiała pożyczyc swego klucza. Uprzytomniły mi się w myśli wszystkie okoliczności towarzyszące memu powrotowi, brama natychmiast otwarta, drzwi moje tylko przymknięte.

Przyjaciel, którego tylko włosy widziałem, oczekując mię usnął na fotelu; zbliżyłem się więc, aby go przebudzić. Widziałem go doskonale, z prawą ręką zwieszoną, nogi miał założone na krzyż, głowa przechylona nieco na lewą stronę fotelu, wskazywała wyraźnie że on śpi. „Kto to jest”—myślałem. W pokoju było bowiem prawie ciemno. Wyciągnąłem rękę, żeby dotknąć jego ramienia!...

Napotkałem drewno od fotelu! Nie było już niko-go. Fotel był pusty!

Jakżem się wzdrygnął. Boże łaskawy!

Zrazu cofnąłem się, jak na widok strasznego niebezpieczeństwa, potem się odwróciłem, czując kogoś po za plecami i w tejże samej chwili, party gwałtowną żądzą zobaczenia raz jeszcze fotelu, obróciłem się. Narazcie stanąłem z oddechem zapartym ze strachu i tak straciłem głowę, że nie mógł myśli zebrać i o mało oom nie padł na ziemię.

Ale mając dużo zimnej krwi, oprzytomniałem natychmiast i przyszło mi na myśl, że musiał mieć hal-

lucynacyę, nie więcej. I zaraz zacząłem rozważać to zjawisko. Myśl szybko bieży w podobnych chwilach.

Doznałem hallucynacyi--było to faktem niezaprzeczonym, ale przez cały czas umysł mój pozostał jasny, odbywał swą czynność prawidłowo i logicznie. Mózg nie ulegał więc pomieszeniu, oczy tylko błędziły i obalamuciły myśl. Oczy miały wizyę, jedną z tych wizyj, co w ludziach naiwnych rozbudzają wiarę w cuda. Była to przypadłość nerwowa w przyrządzie optycznym, nie więcej, może lekkie uderzenie krwi do głowy.

Zapaliłem świecę, Nachylając się do ognia, zmierkowałem, że drzę i w mgnieniu oka zerwałem się nagle, jak gdyby mię kto dotknął z tyłu.

Nie byłem spokojny, to pewna.

Uszedłem kilka kroków, przemówiłem głośno, zaśpiewałem kilka zwrotek półgłosem.

Potem zamknąłem drzwi na dwa spusty i uspokoiło mię to trochę, przynajmniej nikt nie mógł wejść.

Usiadłem znowu i długo rozmyślałem nad mą przygodą, nareszcie położyłem się i zdmuchnąłem świecę.

Przez kilka minut wszystko było dobrze, leżałem na wznak, dosyć spokojnie. Naraz opanowała mię chęć rozejrzenia się po pokoju, położyłem się więc na boku.

W kominku pozostały tylko dwa czy trzy węgielki, oświecające nogi fotela i zdawało mi się, że tam znów siedzi ten człowiek.

Potarłem szybko zapałkę: omyliłem się, jużem nic nie widział.

Wstałem jednakże i poszedłem ukryć fotel za łóżkiem.

I znowu zdmuchnąłem świecę, starając się usnąć.

Zaledwie zdrzemnąłem się na pięć minut, kiedyś spostrzegłem we śnie, ale tak wyraźnie jakby na jawie, całą scenę wieczorną. Obudziwszy się, byłem jak szalony, zapaliłem znów świecę i siedziałem na łóżku nie śmiejąc nawet próbować usnąć.

Dwa razy zmorzył mnie jednak sen, pomimo mej woli, na kilka sekund. Dwa razy ujrzałem toż samo. Sądziłem, że zwaryowałem.

Gdy dzień nastał, uczułem się wyleczony i spałem spokojnie do dwunastej.

Skończyło się to już, zupełnie skończyło.

Miałem widać gorączkę, zmora mnie dusiła; alboż ja wiem, zresztą co to było? Jednym słowem byłem bardzo chory, bardzo głupi, bądź co bądź.

Niezmiernie wesół zjadłem owego dnia obiad w restauracyi, poszedłem potem do teatru, nareszcie wybrałem się z powrotem. Zbliżając się do domu, uczułem dziwny niepokój. Lękałem się zobaczyć jego. Nie jego się bałem, nie jego obecności, w którą nie wierzyłem, ale bałem nowego obłądu oczu, bałem się hallucynacyi, bałem się strachu, co mnie opanuje.

Więcej niż godzinę przechadzałem się po chodniku; nareszcie, wydało mi się to zbyt niedorzeczne i wszedłem do domu.

Taki miałem oddech przyspieszony, że nie mógł iść po schodach. Przeszło dziesięć minut stałem przed swym mieszkaniem w sieni; nagle zdobyłem się na odwagę, natężyłem wolę, włożyłem klucz w zamek; wpadłem ze świecą w rękę, nogą rozwarłem przymknięte drzwi od pokoju i ze strachem spojrzałem na kominek. Nie zobaczyłem nic. Ach!..



Co za ulga! Jaka radość! Co za oswobodzenie. Chodziłem tu i tam z miną zuchowatą; ale nie czułem się uspokojonym. Obracałem się żywo, zniemacka; ciemne kąty mię drażniły.

Źle spałem, budzony ustawicznie urojonemi odgłosami. Ale go nie zobaczyłem. Nie. Było to już skończone!

Od owego dnia, boję się być sam, w nocy. Czuję tę wizję tu, przy sobie, dokoła siebie. Nie ukazała mi się już więcej. O nie! O cóż chodzi zresztą, kiedy w nią nie wierzę, kiedy wiem, że nie istnieje!

Jednakże zawadza mi, bo ciągle myślę o niej. Jedną ręką zwieszona była z prawej strony, głowa zaś zwisała z lewej, jak u człowieka śpiącego...

Dosyć już, na miły Bóg! Nie ohoję o tem myśleć!

Jednakże co znaczy to napastujące zjawisko? Dlaczego się mnie uczepiło? Nogi jego były już przy ogniu!

On mię nie odstępował; to szaleństwo, ale tak jest. Kto on? Wiem, że nie istnieje, że to—nicie! On istnieje tylko w mej obawie, tylko w mej trwodze, tylko w mym niepokoju! Dosyć już tego!...

Tak, ale napróżno przemawiam do swego rozumu i natężam wolę, niemogę być sam jeden w domu, bo on tam jest. Już go nie zobaczę, wiem o tem, nie pokażę się już, to rzecz skończona, ale swoją drogą istnieje w mej myśli. Pozostaje niewidzialny, ale niemniej — jest. Wszędzie się znajduje: za drzwiami, w szafie zamkniętej, pod łóżkiem, we wszystkich kątach ciemnych, we wszystkich cieniach. Jeśli uchylę drzwi, jeśli otworzę szafę, jeśli ze światłem zajrzę pod łóżko, jeśli

oświecę kąty, cienie—już go niema; ale wtedy czuję go po za sobą. Obracam się, z tą pewnością jednak, że go nie zobaczę, że go już nigdy nie ujrzę. Niemniej jest on jeszcze za mną.

To głupie, ale okropne. Cóż robić? Ja na to nie mogę poradzić.

Ale gdyby nas było dwoje w mieszkaniu, czuję, tak, czuję na pewno, że jużby go nie był! bo on jest dlatego, że sam jeden; tylko dlatego, że sam jeden!

## Mój wuj Sosthène.

Mój wuj Sosthène był wolnomyślicielem jakich jest wielu — wolnomyślicielem z głupoty. Bywa się często i bigotem w tenże sam sposób. Widok sutanny doprowadzał go do dziwnego szału; groził on pięścią i dotykał żelaza poza plecami, co także dowodzi pewnej wiary, bo wiary w rzucanie uroków, co się zaś tycze wier niewyrozumowanych, trzeba je mieć wszystkie lub żadnej.

Ja, który także jestem wolnomyślicielem czyli buntownikiem względem wszelkich dogmatów, powstałych z obawy śmierci, nie czuję nienawiści do świątyń czy one są katolickie, apostolskie, rzymskie, protestanckie, greckie, budyjskie, żydowskie, czy muzułmańskie. Zresztą, ja się na nie po swojemu zapatruję i na swój sposób je rozumiem. Świątynia, to hołd oddany Nieznanemu.

Oto moja idea! Z wujem moim różniliśmy się na wszystkich prawie punktach.

On był wolnym mularzem; według mnie zaś wolni mularze są głupszy od starych dewotek. Takie jest moje przekonanie i obstaruję przy niem. Co do tego zaś, żeby mieć religię, to dawnaby mi wystarczyła.

Ci głupcy zamiast być oryginalnymi naśladowają tylko; symbolem ich jest trójkąt zamiast krzyża. Mają świątynie, które nazywają lożami, mnóstwo rozmaitych kultów: jest tam rytuał szkocki, rytuał francuzki z wielkiego — wschodu, cały szereg błazeństw, z których się można uśmieć do rozpuku.

I co oni mają na celu? Dopomagać sobie nawzajem łechocąc się w dłonie. Nie widzę w tem nic złego. Wprowadzili w czyn zasadę chrześcijańską: „wspomagajcie jedni drugich,” całą różnicę stanowi tylko łechtanie. Ale wartożto robić tyle ceremonij, żeby pożyczyć jakiemu biedakowi sto su? Duchowni, dla których dawanie jałmużny i wszelkiej pomocy jest obowiązkiem i zawodem, kreślą w nagłówku swych listów trzy litery, wolnomularze zaś stawiają trzy kropki po swym podpisie. Jedno warte drugiego.

Wuj mi odpowiadał: — My właśnie stawiamy religię przeciw religii, robimy z wolnomyślności broń, która zabije klerykalizm. Wolnomularstwo jest cytadelą, pod której sztandarem zostają wszyscy burzyciele.

Ja zaś na to: — Ależ mój kochany wuju (a w duchu mówiłem: Ty stary safandulo) ja z tego właśnie robię wam zarzut: zamiast tępić, wytwarzacie konkurencyę, a to tylko obniża wartość i nic więcej. Zresztą, rozumiałbym, gdybyście przyjmowali tylko wolnomyślicieli, ale wy wszystkich przyjmujecie. Są między wami katolicy w wielkiej ilości, nawet naczelnicy stronnictwa. Pius IX należał do grona waszego, zanim został papieżem. Jeśli nazywacie stowarzyszenie z takim ustrojem cytadelą przeciw klerykalizmowi, to mi się słabą wydaje ta wasza cytadela.

Mrugając figlarnie okiem, dodawał wuj wtedy: Prawdziwa, najgroźniejsza działalność nasza objawia się w polityce, my podkopujemy napoleonizm w sposób niezawodny i nieustający.

Tu, musiałem już wybuchnąć: — Tak, tak, bardzoście zręczni! Powiedźcie mi, że wolnomularstwo jest fabryką wyborów, — przyznam wam słusność; że służy za machinę do głosowania za kandydatami wszelkich odcięci, tego nie zaprzeczę; że niema innej funkoyi, tylko żartować z biednego ludu, zaciągać go dla wysysania danin, jak się żołnierzy wyprawia w ogień, będę waszego zdania; że jest pożyteczne nawet nieodbicie potrzebne dla wszystkich ambicyj politycznych, gdyż przemienia każdego ze swych członków na agenta wyborczego, — zawołam: — To jasne jak słońce! Ale kiedy utrzymujecie, że jego zadaniem podkopywać ducha napoleonizmu, śmieję się wam w oczy.

Zastanówcie się tylko nad tem rozgałęzionem i tajemniczem stowarzyszeniem demokratycznym, którego wielkim mistrzem we Francyi był sam Napoleon za cesarstwa, którego członkami są król Humbert, książę Galli i t. d.

Wuj szeptał mi wtedy do ucha: — Prawda, ale wszyscy ci książęta popierają nasze zamysły, niedomyślając się tego!

— I na odwrót wy ich popieracie.

A w duchu dodawałem: — Stek głupców!

Ciekawy też był widok, kiedy wuj Sosthène zapraszał wolnomularza do siebie na obiad.

Na przywitanie podawali sobie ręce z miną tajemniczą a wielce komiczną; widać było, że wykonywają



cały szereg oisnień tajemnych. Ile razy ochoiałem wuja doprowadzić do wściekłości, przypominałem mu tylko, że psy mają także wolnomularski sposób witania się z sobą.

Potem, prowadził wuj gościa do kątów, jak gdyby dla zwierzania mu się z ważnych tajemnic. Przy obiedzie, siedząc naprzeciw siebie, mieli osobliwy sposób patrzenia jeden na drugiego, krzyżowania spojrzeń, picia, powtarzając sobie niejako: My do jednego obozu należymy, nieprawda?

I pomyśleć tylko, że się ich całe miliony bawi w takie cudactwa. Wolałbym już być jezuitą.

W mieście naszym był stary jezuita, sól w oku wuja Sosthène. Każdy raz co go spotkał, lub spostrzegł zdaleka, mruzczał zaraz: — Ty, szkarado! i chwytając mię za ramię, szeptał do ucha: — Zobaczysz, że ten łotr zaszkodzi mi, prędzej lub później, ja to czuję.

Słusznie mówił wuj, a stało się to z mojej winy, w sposób następujący:

Nadchodził wielki tydzień: wujowi przyszło więc na myśl wyprawić mięsny obiad w piątek, ale to obiad co się nazywa z kielbasą i serdelkami. Opierałem się temu o ile było w mojej mocy, mówiąc: — Będę jadł tego dnia z mięsem, jak zwykle, ale sam jeden, u siebie w domu. Ta manifestacya jest idiotyczną. Na co manifestować. Co to wujowi szkodzi, że ludzie nie jedzą mięsa?

Ale wuj uparł się i zaprosił trzech przyjaciół do najpierwszej restauracyi; ponieważ to on płacił, nie odmówiłem więc udziału w manifestacyi.

Od czwartej godziny zajmowaliśmy już widoczne

miejsce w kawiarni Pénélope, najbardziej uczęszczanej i wuj Sosthène donośnym głosem opowiadał, co będziemy jeść. O szóstej siadło się do stołu; o dziesiątej jedliśmy jeszcze, przyczem wypiliśmy w pięciu ośmnaście butelek wina wyborowego, prócz czterech szampana. Nareszcie wuj zaproponował, tak zwaną przezeń „kolejkę bernardyńską”, stawiało się szeregiem przed sobą sześć kieliszków z rozmaitemi likworami, poczem trzeba je było wychylić jeden po drugim, podczas kiedy ktoś z obecnych rachował do dwudziestu. Było to głupie, ale wuj Sosthène uważał rzecz tę za obowiązkową, „odpowiednią do okoliczności”.

O jedenastej był on pijaniuteńki tak dalece, że trzeba go było odwieść powozem i położyć w łóżku, widoczne było, że ta manifestacya anti-klerykalna skończy się na strasznej niestrawności.

Gdy powracał do domu, także pod dobrą datą i w wesołym usposobieniu, przyszła mi do głowy myśl machiawelska, zadawalniająca moją skłonność do sceptycyzmu.

Naprostowałem krawat i przybrawszy minę desperacką, zacząłem dzwonić na gwałt do drzwi starego jezuitę. Głuchy był, musiałem więc czekać, ale ponieważ tak waliłem nogami we drzwi, że się cały dom wstrząsał, ukazał się nareszcie w oknie w bawelniającej szlafmocy i zapytał:

— Jaki tam interes?

— Prędko, prędko, ojcze wielebny, otwórz mi — krzyknąłem — umierający wzywa cię do siebie.

Biedaczysko się do połowy przyodziawszy, zeszedł bez sutany. Opowiedziałem mu zadyszczanym głosem,

że mój wuj, wolnomyśliciel, zaniemógł nagle, że mu pewno grozi bardzo ważna choroba i że lękając się śmierci, pragnie zobaczyć się z nim, rozmówić, usłyszeć jego rady, poznać lepiej zasady wiary, zbliżyć się do kościoła i zapewne wypowiedzieć się, żeby być pogodzonym z sobą przed rozpoczęciem wędrówki ostatniej.

Niby to niechętnie dodałem jeszcze:

— Trudna rada, kiedy sobie życzy: jeśli mu to nie pomoże, to przynajmniej i nie zaszkodzi.

Stary jezuita, pomieszany, uradowany, drżący rzekł:

— Zaczekaj tu chwilkę, moje dziecko, zaraz przyjdę.

Alem ja dodał:

— Przepraszam cię, ojcze wielebny, ja ci nie będę towarzyszył; przekonania moje nie pozwalają mi na to, nie chciałem nawet przyjść po ciebie; dlatego proszę, nie mów, żeś się ze mną widział, tylko żeś miał objawienie o chorobie wuja.

Poczoiwiec, przystawszy na wszystko, spiesznym krokiem udał się do wuja. Służąca, która doglądała chorego, otworzyła niebawem i ujrzałem czarną sutanę wchodzącą do twierdzy wolnomyślności.

Ukryty w drzwiach sąsiednich, oczekiwałem awantury. Gdyby wuj Sosthène był zdrow, zbiłby jezuitę, alem wiedział, że nie jest w stanie poruszyć ręką; więc nieposiadając się z radości, starałem się odgadnąć, jaka to nieprawdopodobna scena rozegra się między tymi przeciwnikami; jaka walka nastąpi, jakie tłumaczenie się, jakie zdumienie, jaka gmatwanina i jakie będzie rozwiązanie tego położenia bez wyjścia, które wuj pod wpływem oburzenia uczyni jeszcze tragiczniejszym.

Trzymałem się za boki ze śmiechu, stojąc sam je-

den i powtarzając sobie półgłosem: „Ach doskonały, doskonały figiel!”

Jednakże zimno było, zauważyłem więc, że jezuita bawi bardzo długo; mówiłem sobie: „dysputują”.

Minęła godzina, dwie, trzy, — wielebny ojciec nie wychodził. Co się tam stało? Czy wuj umarł z silnego wzruszenia na jego widok? Czy zabił człowieka w czarnej sutanie? Czy może zjedli jeden drugiego? To ostatnie przypuszczenie zdawało mi się jednak niezbyt prawdopodobne, gdyż wiedziałem, że wuj nie jest w stanie zjeść ani jednego grana więcej. Nareszcie nastął dzień.

Będąc zaniepokojony, a nie śmiejąc wejść do wuja, umyśliłem pójść do znajomego, który mieszkał właśnie naprzeciwko. Opowiedziawszy mu rzecz całą, która go i zadziwiła i rozśmieszyła, zacząłem czatować przy oknie.

O dziewiątej przyjaciel mój zajął moje miejsce, a ja się trochę przespałem; o drugiej, jam go znów zastąpił. Obaj byliśmy niezmiernie zatrwożeni.

O szóstej, jezuita wyszedł z miną zadowolnioną i oddalił się spokojnym krokiem.

Zawstydzony i nieśmiały, zadzwoniłem do wuja. Nie mając odwagi zapytać o co służącą, która mi otworzyła, w milczeniu poszedłem na górę.

Wuj Sosthène leżał na łóżku blady, zmieniony, zgnębiony, z okiem obumarłym, z obwisłymi rękami. Obrazek święty przypiął ktoś szpilką do firanki.

W pokoju było mocno czuć niestrawność.

— Cóż to wuju — rzekłem, — położyłeś się? Nie zdrów jesteś?

— Ach, moje biedne dziecko, — odpowiedział — byłem bardzo chory; o mało com nie umarł.

— Cóż się to stało?

— Niewiem; dziwna jakaś rzecz; ale co osobliwsza, to że ojciec jezuita, który tylko co ztąd wyszedł — wiesz — ten zacny człowiek, którego niecierpiałem, — miał objawienie o moim stanie i przyszedł mię odwiedzić.

Strasznie mi się zachciało śmiać, alem rzekł tylko:

— Doprawdy?

— Tak, był tutaj: jakiś głos powiedział mu, żeby wstał i przyszedł do mnie, bo umieram. To jest objawienie.

Udałem, że kicham, żeby nie parsknąć śmiechem.

Po chwili, hamując ciągle tę chętkę, rzekłem z oburzeniem: — I przyjąłeś go wuju? Ty? wolnomyśliciel? wolnymularz? Nie wypchnąłeś go za drzwi?

Widocznie zmieszany, bąkał: — Widzisz, to było tak! zadziwiające, tak opatrnościowe! Przytem wspominał o moim ojcu. On znał niegdyś mego ojca.

— Ojca twego, wuju?

— Tak, podobno go znał.

— Ależ to nie jest słuszną przyczyną, żeby przyjąć u siebie jezuitę.

— Wiem dobrze; tylko zem był taki chory, on zaś pielęgnował mię całą noc z takim poświęceniem. On mi życie ocalił. Ci ludzie są potroszę lekarzami.

— Doprawdy, doglądał wuja całą noc? Wszakż eś mi mówił, że dopiero co ztąd wyszedł.

— Tak, to prawda; ponieważ był taki dobry dla mnie, zatrzymałem go na śniadanie. Jadł tu, przy mo-



jem łózkú na stoliku, podczas kiedy ja piłem filizankę herbaty.

— I czy... jadł z mięsem?

Wuj poruszył się żywo, z widocznem oburzeniem, jak gdybym się dopuścił wielkiej niewłaściwości i dodał:

— Nie żartuj, Gastonie; niektóre żarty są nie w miejscu. Ten człowiek okazał mi więcej poświęcenia w tym razie, niż którybądź z krewnych, dlatego wymagam, żeby przekonania jego były szanowane.

Słowa te zgnębiły mię do reszty, alem odrzekł: — Bardzo dobrze, wuju... a po śniadaniu, oósie panowie robili?

— Zagraliśmy partyą bezika; potem odmawiał brewiarz, a ja czytałem książeczkę, którą miał przy sobie woale nieźle napisana.

— Treści religijnej?

— Tak i nie; lecz prędzej — nie. Jestto historia ich misyi w Afryce środkowej, a raczej opis podróży i przygód. Ci ludzie tam dokonywają bardzo pięknych rzeczy.

Zaczynał mi się niepodobać obrót rzeczy; powstawszy więc, rzekłem: — Żegnam cię, mój wuju, jak widzę, porzucasz wolnomularstwo dla religii, — jesteś odszczepieńcem.

Zmieszany znów trochę, szepnął:

— Ależ religia jest pewnego rodzaju wolnomularstwem.

— Kiedyż tu znów przyjdzie ten twój jezuita? — zapytałem.

— Niewiem... może jutro... ale niema w tem nic pewnego... — bąkał wuj.

Wyszedłem z tamąd zupełnie odurzony. Figiel mój nie udał się! Wuj jest radykalnie nawrócony. Byłoby to jeszcze fraszką, bo dla mnie klerykał czy wolnomularz — na jedno wychodzi; ale co gorsza, sporządził testament, tak — testament i wydziedziczył mię, mój panie, a to na korzyść ojca jezuity!

---

## Biedny Jędrus.

Front domu notaryusza wychodził na plac. W tyłach piękny ogród, gęsto wysadzony drzewami, rozciągał się aż do muru pas & zu des Piques, zawsze pustego

W końcu tego to ogrodu, żona pana Moreau miała mieć po raz pierwszy schadzkę z kapitanem Somme-  
rive, który ją oddawna prześladował swą miłością.

Mąż jej wyjechał na dni ośm do Paryża, była więc wolną cały tydzień. Kapitan tak prosił, błagał ją w tak słodkich słowach, była przekonana, że ją kocha tak gwałtownie, czuła się przytem tak osamotnioną, tak zapomnianą, tak zaniedbaną, pośród kontraktów, jakimi się wyłącznie zajmował notaryusz, że pozwoliła, by jej wziął serce, nie zapytując siebie, czy kiedyś czego więcej nie odda.

Po kilku miesiącach miłości platonicznej, ściskania rąk, przelotnych całusów skradzionych za drzwiami kapitan oznajmił, że niezwłocznie opuści miasto i zażąda przeniesienia, jeśli nie uzyska schadzki, prawdziwej schadzki, w cieniu drzew, podczas nieobecności męża.

Uległa mu i obiecała.

Teraz czeka nań, przytulona do muru, z sercem bijącym, drżąca za najlżejszym szelestem.

Naraz usłyszała, że ktoś przeskakuje przez mur i omało, co nie uciekła. A jeśli to nie on? Jeśli to złodziej? Ale nie. Odezwno się po oichu: „Matyldo.” Odpowiedziała „Stefanie” i padł na ścieżkę mężczyzna brzęcząc pałaszem.

To był on! co za pocałunek!

Stali długo trzymając się w objęciach, tuląc usta do ust. Lecz nagle drobny deszczyk zaczął padać i krople ślizgając się z liścia na liść, drgały w cieniu ze szmerów wody. Zadrżała uczuwszy na szyi pierwszą kroplę.

— Matyldo — mówił kapitan — moja najdroższa, moje bóstwo, przyjaciółko moja, aniele, wejdźmy do mieszkania. Już północ, nie mamy się czego lękać. Idźmy do twego pokoju, błagam cię.

— Nie, mój najmilszy, — odrzekła, boję się. Któż wie, co się nam może przytrafić.

Ale on trzymając ją w uścisku, szeptał do ucha: — Służba jest na trzeciem piętrze od placu, a twój pokój na pierwszym, od ogrodu. Nikt nas nie posłyszcy. Ja cię kocham, choć cię kochać swobodnie, całą, od stóp do głów. Przyciskał ją gwałtownie do piersi, odurzając pocałunkami.

Broniła się jeszcze, lękając się i wstydząc; lecz porwał ją w pół i niósł pod coraz nawalniejszym deszczem.

Drzwi pozostały otwarte, weszli więc po omacku na wschody. Gdy się dostali do pokoju, zamknęła się na zasówkę, podczas gdy on pocierał zapałkę.

Ale omdlewająca padła na fotel; ukląkł wtedy i pozwoli rozbierać ją, zacząwszy od bucików i pończoch, żeby ucałować nogi. Ona z zapartym oddechem mówiła: — Nie, nie, Stefanie; błagam cię, pozwól mi pozostać uczciwą, zbyt wielki miałabym potem żal do ciebie. To takie brzydkie, takie grubiańskie. Czyż się nie można kochać duszami tylko... Stefanie...

Zręcznie jak pokojówka i żywo jak człowiek, który się spieszy, odpinał guziki, odwiązywał tasiemki, rozpinał haftki, rozsznurowywał — bez wypoczynku. Gdy się chciała podnieść i uciec, aby uniknąć jego zachwalstwa, nagle — wyszła z bielizny.

Jak szalona pobiegła schować się za frankami od łóżka, schronienie to nie było bezpieczne; poszedł i tam za nią, ale z pospiechu za prędko odparał pałasz, który padł na posadzkę, ze strasznym hałasem.

Natychmiast odezwał się przeciągły jęk i krzyk przeraźliwy, długi, krzyk dziecka—rozległ się w przyległym pokoju, od którego drzwi pozostały otwarte.

— Rozbudziłeś Jędrusia, nie będzie już mógł zasnąć, — szepnęła.

Syn jej miał piętnaście miesięcy i sypiał w pobliżu matki, żeby mogła oszuwać nad nim ciągle.

Rozszalały kapitan nie słuchał.

Ale ona się broniła, zrozpaczona, zalękniona. Nie, nie, słuchaj, jak on krzyczy; rozbudził mamkę. Gdyby przyszła, co byśmy zrobili? Bylibyśmy zgubieni! Stefanie, słuchaj; jak mu się to zdarza, w nocy, ojciec bierze go do łóżka, żeby uspokoić. On milknie zaraz, ale to zaraz, niema innego sposobu. Pozwól mi go wziąć, Stefanie...



Dziecko wyło, wydawało te przeraźliwe krzyki, które przebijają przez najgrubsze mury i które się słyszy na ulicy, przechodząc koło mieszkań.

Kapitan przerażony podniósł się, a Matylda co prędzej pobiegła do malca, którego przyniosła do swego łóżka. Uciszył się tam zaraz.

Stefan zaczął zwijać papieros, a malec usnął dopiero po upływie pięciu minut.

— Odniosę go teraz,—szepnęła matka i poszła położyć dziecko w kolebce, z największą ostrożnością.

Gdy powróciła, kapitan oczekiwał ją z otwartymi ramionami.

Wziął ją w objęcia, szalejąc z miłości; zwalczona nakoniec, szeptała tuląc się doń:

— Stefanie... Stefanie... miłości moja! O! gdybyś wiedział, jak... jak...

Jędrus znowu zaczął krzyczeć, kapitan uniesiony wściekłym gniewem klął i wołał czy się ten smarkacz nigdy nie uciszył!

Nie, smarkacz nie ochoił się uciszyć, ciągle beczał.

Matyldzie zdawało się, że się coś porusza na górze, pewno mamka idzie.

Zerwała się, wzięła syna i poniosła do swego łóżka. Uciszył się natychmiast.

Trzy razy z rzędu kładła go w kołysce; trzy razy trzeba go było z niej wyjmować.

Kapitan Sommerive odszedł na godzinę przed świtem klnąc na ozem świat stoi.

Ale dla ukojenia jego niecierpliwości, Matylda obiecała przyjąć go jeszcze tegoż samego wieczora.

Przybył w taki sam sposób jak dnia poprzedniego, tylko niecierpliwszy, bardziej pałający i rozdrażniony oczekiwaniem.

Tym razem pamiętał ostrożnie położyć pałasz na dwóch poręczach fotelu jak złodziej mówił tak cicho, że go Matylda nic nie słyszała. Nakoniec miał już być szczęśliwy, zupełnie szczęśliwy, kiedy posadzka, czy jakiś sprzęt, — trzasło. Był to łoskot raptowny, jak gdyby się jakaś podpora złamała i natychmiast odezwał się krzyk, zrazu słaby, potem przeraźliwy. Jędrus obudził się i skowyczał jak lis. Jeśli nie przestanie, to cały dom gotów się zerwać na nogi.

Matka przerażona przyniosła go do swego łóżka i kapitan podniósł się, wściekły ze złości, znienacka wyciągnął on rękę, wziął we dwa palce trochę skóry malca i uszczypał. Dziecko miotało się i wyło, że aż uszy puchły; kapitan rozjątrzony, szczypał jeszcze mocniej i zapamiętalej. Żywo chwycił za skórę i wykręcał ją ściskając gwałtownie, potem puszczał i brał szczypiąc w innem miejscu, obok coraz dalej a dalej.

Dziecię wydawało takie krzyki, jak kurozę, które zarzynają, lub pies, którego chłoszczą. Zrozpaczona matka ścisłała je, pieściła, starała się ukoić, tłumiała krzyki pocałunkami, ale Jędrus siniał, jak gdyby miał dostać konwulsyj i miotał nóżkami i rączkami w przerażający sposób.

Kapitan rzekł głosem pełnym słodyczy: — Sprobuj go odnieść do kołyski, może się uspokoi, zaniosła więc dziecię do przyległego pokoju.

Zaledwie się wydobył z łóżka matki, przestał tak

ardzo krzyczeń, a gdy go położyła w kołysce, umilkł, od czasu do czasu łkając jeszcze trochę.

Odtąd noc przeszła spokojnie.

Następnego wieczora przyszedł także, ponieważ mówił trochę zagłębionym głosem, Jędrus znowu się obudził i zaczął skomlić. Matka poszła czempredzej żeby go przynieść ale kapitan szczypał go tak mocno i tak długo, że malec zaczął się dusić, oczy stanęły mu kołem i piana wystąpiła mu na usta.

Włożono go do kołyski i natychmiast się uciszył

Po upływie dni czterech, już nie płakał, żeby pójść do łóżka matczynego.

Notaryusz powróciwszy w sobotę wieczorem, zajął nanowo swe miejsce przy ognisku i w pokoju sypialnym, zmęczony podróżą, położył się wczesniej; gdy tylko przyszedł do siebie i spełnił skrupulatnie wszystkie obowiązki ucziwego i metodycznego człowieka, rzekł zadziwiony. Co to znaczy, że Jędrus dziś nie płacze. Przynieś no go Matyldo, lubię go czuć pomiędzy nami.

Żona podniosła się natychmiast i poszła po dziecko; ale gdy się tylko ujrzał malec w tem łóżku, gdzie przed kilku dniami jeszcze tak lubił zasypiać, — przestraszony, zaczął się wić i wył tak strasznie, że trzeba go było odnieść do kołyski.

Pan Moreau nie mógł pojąć tego:— Cóż to za dziwna rzecz! Co jemu dziś jest, może śpiący?

Ciągle był taki podczas twojej nieobecności — odzekała żona. Nie mogłam go wziąć do siebie ani jednego razu.

Rano, obudziwszy się, dziecko zaczęło się bawić i śmiać trzepocząc rączkami.

Rozczulony tym widokiem przybiegł notaryusz uściaskał syna, i porwał w objęcia, żeby go zanieść do łóża małżeńskiego. Jędrus śmiał się, tym śmiechem maleńkich istotek, których myśl jest jeszcze niepewna. Nagle spostrzegł łóżko a w niem matkę: wesola twarzyczka zmarszczyła się, skrzywiła, z gardziółka zaczęły wychodzić krzyki szalone i miotał się jak gdyby go brano na męki.

— Temu dziecku coś jest, — rzekł z oicha ojciec i machinalnie podniósł mu koszulkę.

— Ach! wykrzyknął zdumiony; uda, krzyże, całe oiałko, pełne było dużych sińców.

— Matyldo, patrz, to okropnie, — zawołał Moreau. Matka pochyliła się z przerażeniem. Środek każdego siniaka zdawał się przecięty linią fioletową, gdzie krew zastygła.

— To jakaś straszna i osobliwa choroba, początek trądu, jednej z tych dziwnych przypadłości, w których skóra staje się krostowata jak grzbiet ropuchy, albo łuszczkowata jak u krokodyla.

Rodzice z rozpaczą spoglądali na siebie.

— Trzeba iść po doktora, — zawołał Moreau. Matylda, bledsza od trupa, wlepiała oczy w syna przyobleczonego tą skórą lamparcią— i nagle, wydając krzyk gwałtowny, jak gdyby spostrzegła kogoś, co w niej odrazę budzi, wymówiła: — Ach niegodziwy!

Moreau zadziwiony, spytał: — Co? o kim mówisz? Kto jest niegodziwy?

Zaczerwieniła się strasznie i zaczęła bąkać: Nie...

to... widzisz... odgaduję.. to... nie trzeba chodzić po doktora... to z pewnością ta ta niegodziwa mamka szczypie małego, żeby umilkł, jak się rozkrzyczy.

Notaryusz rozjątrzony do najwyższego stopnia, poszedł po mamkę i chciał ją zbić. Zapała się bezczelnie, lecz została wypędzoną.

Ponieważ zapisano jej złe świadectwo, nie mogła już dostać innego miejsca!

---



## F i l o z o f.

Blérot był moim przyjacielem i najmilszym towarzyszem od lat dziecinnych, jeden dla drugiego nie miał tajemnic. Byliśmy bliscy sercem i umysłem, zaznali jak bracia i ufaliśmy sobie bez granic.

Ja byłem powiernikiem jego miłostek, on moich.

Gdy mi oznajmił, że się zamyśla żenić, zabołało mię to, jak zdrada. Czulem, że nastąpi koniec tego serdecznego, szczerego stosunku. Żona jego stanęła pomiędzy nami. Dwoje ludzi, co sypiają razem, nawet gdy się przestaną kochać, są jakby stowarzyszonymi, którzy prócz siebie nikomu nieufają, złączeni są jakimś związkim tajemniczym. Ale ten węzeł tak ścisły, zadzierżgnięty przez pocałunek małżeński, ustaje nagle z chwilą, gdy żona oddaje się kochankowi.

Pamiętam tak dokładnie cały obrzęd zaślubin Blérota, jak gdyby to było wczoraj. Nie chciałem być obecnym przy spisaniu umowy, nie lubiąc podobnych rzeczy, poszedłem tylko do merostwa i do kościoła.

Żona jego, której przedtem nie znałem, była to młoda panienka, wysoka blondynka, trochę za szczupła ale ładna; miała blade oczy, blade włosy, bladą cerę i blade ręce. Idąc, kołysała się lekka, jakby w czół-

nie; zdawało się, że ciągle oddaje długie i pełne wdzięku ukłony.

Widać to było, że Blérot jest mocno rękochany: wpatrywał się w nią bezustanku i odczuwałem, że w nim wznieca gwałtowną żądzę.

Po upływie kilku dni oowiedziłem go:

— Nie możesz sobie wyobrazić—rzekł—jak jestem szczęśliwy. Kocham ją szalenie! Zresztą, ona jest... jest... — Nie dokończył frazesu, ale kładąc palec na ustach, zrobił gest mający znaczyć: cudowna, zachwycająca, niezrównana i wiele jeszcze innych rzeczy.

— Aż tak?—zapytałem ze śmiechem.

— Nic piękniejszego nie możnaby wymarzyć — odrzekł.

Przedstawił mię swojej żonie, która była bardzo uprzejma, w miarę swobodna i powiedziała, że ich dom odtąd jest moim; ale czułem, że Blérot już nie należy do mnie. Zażyłość nasza naraz została przerwana: prawie nie mieliśmy już o czem z sobą mówić.

Odszedłem spiesznie. Wkrótce potem odbyłem po dróż na wschód, zkąd dopiero po osiemnastomiesięcznej nieobecności, wróciłem do Paryża na Rossyę, Niemcy, Szwecyę i Holandyę.

Nazajutrz po przyjeździe, przechadzając się po bulwarze, żeby znów odetchnąć powietrzem paryzkim, zauważyłem, że nadchodzi ku mnie mężczyzna z twarzą bardzo bladą i zapadniętą,—podobny o tyle do Blé rota, o ile wynędzniały suchotnik może przypominać chłopca tęgiego, rumianego, a nawet z zaokrąglającą się postacią. Patrzyłem nań zdziwiony i niespokojny, zapytując siebie w duchu: czy to on? Zobaczył mię,

wydał okrzyk, wyciągnął ręce, ja także roztworzyłem ramiona i uściskaliśmy się w środku bulwaru.

Przeszedłszy kilka razy przestrzeń od ulicy Drouot do Wodwilu, mieliśmy się już rozstać, bo się wydawał bardzo znużony:

— Nie wydajesz mi się zdrów — rzekłem. — Czyś chory istotnie?

— Tak, jestem trochę cierpiący.

Wyglądał jak gdyby mu bliska śmierć groziła; uczułem w sercu przypływ użucia dlatego dawnego i drogiego przyjaciela, jedynego w życiu całym. Uściskałem mu ręce.

— Cóż ci jest? Cierpisz?

— Nie, to tylko osłabienie; nic ważnego.

— Cóż doktor mówi?...

— Nazywa to anemią i zaleca żelazo i mięso na wpół surowe.

Błysnęło mi w głowie podejrzenie, zapytałem:

— Czyś szczęśliwy?

— Bardzo.

— Zupełnie szczęśliwy?

— Zupełnie.

— Twoja żona?...

— Czarująca. Kocham ją więcej niż kiedykolwiek, odrzekł. Alem spostrzegł, że się zaczerwienił, zdawał się zakłopotany i jakby lękający się nowych pytań. Porwałem go za ramię, wepchnąłem do kawiarni pustej o tej porze, zmusiłem, żeby usiadł i patrząc mu prosto w oczy, rzekłem:

— Mój drogi Remigiuszu, powiedzże mi prawdę.

— Ależ ja nie mam nic do powiedzenia — wybąkał.

— Nieprawda — powiedziałem znów stanowczym głosem. — Jesteś chory i ta choroba musi mieć źródło w sercu, a nie śmiesz zwierzyć się nikomu z tą tajemnicą. Nurtuje cię jakieś zmartwienie. Ale mnie powiesz co ci dolega, mów, czekam.

Zaczerwienił się znowu i odwróciwszy głowę, wyjąkał:

— To niedorzeczne! ale jestem... jestem...

Gdy się przedłużało jego milczenie, odezwałem się znowu:

— Mówże.

Wtedy, jak gdyby wyrzucał z siebie myśl dręczącą i nikomu jeszcze niewyjawioną, rzekł porywczo:

— A więc... mam żonę, która mię zabija... oto co mi jest.

Nie zrozumiałem go.

— Unieszczęśliwia cię? Dokucza dzień i noc? Ale w jaki sposób? Czemu?

Szepnął słabym głosem, jak gdyby się spowiadał z występku:

— Nie... zanadto ją kocham.

Zmieszało mnie to brutalne zwierzenie, potem wybuchnąłem śmiechem, a nareszcie zdobyłem się na odpowiedź.

— Ależ zdaje mi się, że... że mógłbyś mniej ją kochać.

On znowu był bardzo blady. Zdecydował się nakoniec mówić ze mną otwarcie, jak za dawnych czasów.

— Nie, nie mogę... i umieram. Wiem, że umieram. Zabijam się i zdejmuję mię trwoga. W niektóre dni, jak dziś na przykład, mam ochotę ją porzucić, całkiem

opuścić, udać się na koniec świata, żeby żyć, żeby długo żyć... Ale gdy nastaje wieczór, mimowoli wracam do domu, powolnym krokiem i z umysłem znękanym. Zwolna wstępuję na wschody i dzwonię. Ona siedzi na fotelu i mówi: — Jak późno przychodzisz. — Całuję ją i potem siadamy do stołu; podczas jedzenia ciągle sobie myślę: Po obiedzie pojedę gdziekolwiek koleją. Ale gdy wracamy do salonu, czuję się tak zmęczonym, że już nie mam odwagi podnieść się i zostaję. A potem... potem... zawsze ulegam...

Znowu nie mogłem powstrzymać uśmiechu. Spostrzegłszy to, rzekł: — Śmiejesz się, ale cię upewniam, że to okropne.

— Dla czego nie porozumiesz się z żoną? Jeśli nie jest potworem, to cię pojmie.

Wzruszył ramionami. Łatwo ci tak mówić. Nie naruszam tej kwestyi, bo znam jej naturę. Czyś ty słyszał kiedy o pewnych kobietach:

— Ona już ma trzeciego męża. Prawda, słyszałeś i uśmiechałeś się jak przed chwilą? Jednakże, tak było istotnie. Cóż na to poradzić? Nie jestto ani jej winą, ani moją. Jest taką, bo ją tak natura stworzyła. Mój drogi, to temperament Mesaliny. Ona tego nie wie, ale ja wiem — i tem gorzej dla mnie. Czarująca jest, słodka, tkliwa; szalone pieszczoty nasze, które mnie wyczerpują, które mię zabijają, jej się wydają naturalne i umiarkowane. Wygląda na nieświadomą pensyonarkę i biedaczka jest nieświadomą.

O, codzień robię energiczne postanowienia, bo... rozumiesz... ja umieram! Ale dosyć jednego spojrzenia jej oczu, jednego z tych spojrzeń, w których wyczytu-



ję gorącą żądę jej ust, żebym uległ natychmiast, mówiąc sobie:

„To ostatni raz, już niechęć tych śmiertelnych pocałunków”. A gdy znowu ulegnę, jak oto dzisiaj—wychodzę—idę przed siebie, myśląc o śmierci, mówiąc sobie: zem zgubiony, że już wszystko się dla mnie skończyło. Tak mam głowę nabitą tem, tak chorą, zem się wczoraj udał na Pêre-Laohaise. Przyglądając się tym grobom uszeregowanym jak kostki domina, myślałem: I ja tu będę wkrótce. Wróciłem do domu postanawiając powiedzieć, zem chory, unikając jej—ale nie mogł.

O, ty nie znasz tego. Zapytaj palacza trującego się nikotyną, czy się może wyrzec swego rozkosznego a zabójczego nałogu. Odpowie ci, że próbował sto razy, ale na próżno i doda: Trudna rada, wolę umrzeć od tego. I ze mną tak się dzieje. Kto się da opanować podobnej namiętności lub przywarze, ten musi paść ofiarą.

Podniósł się i podał mi rękę. Ja — wrzałem gniewem, przeciw kobiecie, przeciw tej istocie bezwiednej, uroczej, strasznej. Gdy już zapinał paltot, chcąc odejść zawołałem brutalnie:

— Dajże jej lepiej kochanków, u licha—a siebie nie zabijaj.

Wzruszył ramionami w milczeniu i oddalił się.

Nie widziałem go sześć miesięcy i co rano spodziewałem się listu zawiadomającego o pogrzebie. Ale niechoiał pójść do niego... wstrzymywało mię wielce złożone uczucie: względem tej kobiety wzgarda a względem niego złość, oburzenie i tysiące innych rzeczy.

W piękny dzień wiosenny, przechadzałem się po polach elizejskich, była to jedna z tych ciepłych chwil

popołudniowych, które poruszają w nas radości tajone, rozplamieniają oczy nasze, ogarniają nas burzliwym szczęściem, że żyjemy. Ktoś mię uderzył po ramieniu: odwróciłem się—był to on! Był to on, okazały, zdrów, rumiany, pulchny, okrągły.

Wyciągnął obie ręce rozpromieniony radością, wołając:

— Jesteś nareszcie, przeniewierco!

Patrzyłem nań osłupiały ze zdziwienia:

— Ale... tak. Jest czego powinszować. Zmieniłeś się w ciągu tych sześciu miesięcy.

Zaczerwienił się i rzekł z nienaturalnym śmiechem:

— Każdy sobie radzi, jak może.

Przyglądałem mu się z uporczywością, która go widocznie drażniła, nareszcie rzekłem:

— A więc, jesteś wyleczony.

— Tak, zupełnie, dziękuję ci — jąkał spieszenie, ale potem zmieniając nagle ton, dodał: Jakie to szczęście, że cię spotkał, mój drogi! Będziemy się teraz widywali—i często—mam nadzieję.

Ale ja się nie zrzekał mojej idei—i choć koniecznie nie dowiedzieć się wszystkiego, zapytałem:

— Pamiętasz, z ożem mi się zwierzyłeś przed sześciu miesiącami? A więc... więc... nieulegasz teraz?

Niewyraźnie wyszeptał na to:

— Przypuśćmy, że ci nic nie powiedział i daj mi pokój; ale — kiedy cię odnalazł, to już nie puszcę. Będziesz dziś u nas na obiedzie.

Ogarnęła mię nagle szalona obęć zobaczyć i zbadać jego ognisko domowe, przystałem więc na jego propozycję.

We dwie godziny potem zaprowadził mię do siebie. Żona jego przyjęła mię bardzo mile; cała jej osoba tchnęła prostotą, uroczą naiwnością i dystynkoyą, porywającą oczy. Wysmukłe ręce, twarz, szyję — miała zachwycająco białe i delikatne: było to ciało pańskie, szlachetne, rasowe. Chodem przypominała zawsze długie poruszenia szalupy: zdawało się, że za każdym krokiem zgina każdą nogę.

Remigiusz po bratersku pocałował ją w czoło i spytał:

— Luoyan jeszcze nie przyszedł?

Wyraźnie i swobodnie odrzekła:

— Jeszcze nie, mój przyjacielu; wiesz, że on się zawsze trochę spóźnia.

Odezwał się dzwonek i wszedł młodzieniec wysoki, brunet mocny, z gęstym zarostem, rodzaj Herkulesa salonowego.

Przedstawiono nas sobie: nazywał się on Lucyan Delabarre.

Uścisnęli się mocno za ręce z Remigiuszem, poczem siedliśmy do stołu.

Obiad zeszedł bardzo przyjemnie i wesoło. Remigiusz ciągle ze mną rozmawiał, poufale, serdecznie, otwarcie, jak za dawnych czasów. Nagle—zawołał.

— Nie uwierzysz, jak mi jest miło, że cię znów widzę; zdaje mi się, że odrodzony.

Spoglądałem na jego żonę i na tamtego: zachowywali się jak najprzyzwoiciej, ale parę razy zdawało mi się, że zamieniają z sobą ukradkowe i szybkie spojżenia.

Zaraz po obiedzie, zwracając się do żony, rzekł Remigiusz:

— Moja droga przyjaciółko, kiedyś odnalazł Piotra, porywam go! Będziemy po dawnemu gawędzili na bulwarze. Wybacz nam tę wycieczkę... kawalerską. Zresztą, zostawiam ci pana Delabarre.

Uśmiechnęła się i rzekła, podając mi rękę:

— Nie zatrzymuj go pan długo!

Gdyśmy już szli pod rękę ulicą, chcąc, bądź co bądź dowiedzieć się czego, zapytałem:

— Co tu zaszło? Powiedźże mi...

Ale przerwał mi nagle mowę i odparł niechętnie, jak spokojny człowiek, którego by trudzono bez przyoczyny:

— Ach, dajże mi pokój z temi pytaniami—i półgłosem dodał, jakby mówiąc do siebie, tym ostrym tonem ludzi, którzy zrobili jakieś rozsądne postanowienie:

— Za głupio było zdychać tak dobrowolnie.

Nie nalegałem więcej. Szliśmy prędko, na nowo związawszy rozmowę. Naraz, szepnął mi do ucha:

— A gdybyśmy poszli do dziewcząt, co?

Roześmiałem mu się w oczy:

— Jak chcesz... chodźmy, mój drogi.

## P a r a s o l.

Pani Oveille była bardzo oszczędną: znała się na wartości grosza i posiadała cały arsenał surowych zasad, co do zwiększania kapitałów. Kucharce musiało być bardzo trudno zdobywać koszykowe; a i panu Oveille niełatwo przychodziły kieszonkowe pieniądze. Wiodło im się dobrze i nie mieli dzieci, ale dla pani Oveille było to istną katuszą patrzeć na wymykającą się z rąk srebrną monetę. Serce jej się rozdzierało na ten widok i po każdym ważniejszym, choćby nieuchronnym wydatku, nie mogła spać następnej nocy.

Pan Oveille ciągle powtarzał żonie:

— Nie powinnaś być tak skąpą, kiedy nigdy nie przejadamy dochodów.

Ona odpowiadała:

— Człowiek nie wie, co go może spotkać. Lepiej mieć więcej niż mniej.

Była to kobiecinka mająca lat czterdzieści: żwawa, pomarszczona, schludna i gniewliwa.

Mąż co chwila żalił się, że go skazuje na prywatność; niektóre szczególnie raniły jego próżność. Był on głównym referentem w ministerjum wojny, pozostając w tej służbie jedynie przez posłuszeństwo względem



żony, która chciała, by przysparzał dochodów, chociaż z nich nie robili użytku.

Otóż, przez dwa lata chodził do biura z połatanym parasolem, z którego drwili koledzy. Zniecierpliwiony nakoniec ich conceptami, zażądał nowego od pani Oveille. Kupiła mu wprawdzie inny, ale za ośm franków pięćdziesiąt centimów; jedną z tych lichot, jakie z wielkich składów rozchodzą się tysiącami po Paryżu. Urzędnicy znowu zaczęli żartować, co strasznie bolało p. Oveille. Tuzinkowy ten wyrób, po upływie trzech miesięcy już był niezdatny do użytku i w całym ministerjum stał się celem pośmiewiska, a nawet dał powód do ułożenia piosenki, która się rozlegała od rana do nocy po olbrzymim gmachu.

Pan Oveille rozjątrzony, rozkazał żonie, żeby na była nowy piękny, jedwabny parasol, za dwadzieścia franków i żeby mu przyniosła zań rachunek.

Kupiła ona parasol za osiemnaście franków i czerwona ze złości, zapowiedziała mężowi:

— Będziesz go miał przynajmniej na lat pięć.

Oveille poszedł z tryumfem do biura, gdzie doznał wielkiego sukcesu.

Gdy wrócił wieczorem do domu, żona spoglądając niespokojnie na parasol, rzekła:

— Nie powinienes go ścisnąć elastyką: od tego materia pęka. Strzeż go, bo nie prędko kupię ci inny.

Wziąwszy go, odpięła kółeczko i otrząsnęła załamy; ale naraz struchlała. — Dziura okrągła, wielkości centyma, okazała jej się na środku parasola. Była ona wypalona cygarem!

Pani Oveille zawołała z pomieszaniem:

— Co to jest?

Spokojnie i niepatrząc, odrzekł mąż:

— Kto, co? O czym mówisz?

Tak miała zatamowany oddech ze złości, że trudno jej było mówić.

— Tyś... tyś... spalił... swój... twój... parasol. Alez... ty... chyba... zwaryowałaś!... Chcesz nas zrujnować!

Obejrzał się, czując, że blednie.

— Co ty mówisz?

— Mówię, żeś spalił parasol, patrz!...

Przyskakując, jak gdyby chciała bić, gwałtownie wetknęła mu pod nos okrągłą dziurkę przepaloną.

Pan Oveille stał zmieszany przed tą raną i język mu się plątał, gdy mówił:

— To, to... co to jest? Ja niewiem! Jam nic nie zrobił, nic, przysięgam ci! Niewiem, co się stało temu parasolowi!

Zaczęła krzyczeć:

— Założyłabym się, żeś nim figlował w swoim biurze, udawałeś skoczka, otwierałeś, żeby się nim popisać.

— Otworzyłem raz jeden, żeby pokazać, jaki piękny, więcej nie, przysięgam ci.

Ale ona tupała ze złości i wyprawiała mu jedną z tych małżeńskich scen, straszniejszych dla spokojnego człowieka, niż pole bitwy, gdzie kule padają.

Załatała parasol łatką wykrojoną ze starego, który był odmiennego koloru i nazajutrz Oveille poszedł pokornie do biura z połatanym parasolem. Postawił go w swojej szafie i myślał już o nim tylko jak o przykrem wspomnieniu.

Lecz zaledwie wrócił wieczorem do domu, żona wyrwała mu z rąk parasol, otworzyła, chcąc się przekonąć w jakim jest stanie i stanęła bez tohu wobec niepowetowanej klęski; był on pełen drobnych dziurek, widocznie wypalonych, jak gdyby nań nasypano popiołu gorącego z fajki. Stracony był, stracony bezpowrotnie!

Przyglądała się w milczeniu, zbyt oburzona, żeby wydobyć głos z siebie. On także przypatrywał się, osłupiały, przerażony, pobity.

Potem spojrzeli na siebie; potem spuścił oczy, potem rzuciła mu w twarz podziurawiony parasol; potem odzyskawszy znów głos ze wściekłej złości, zaczęła krzyczeć:

— Ach ty kanalio, ty kanalio! Tyś to umyślnie zrobił... ale mi to zapłacisz... Nie dostaniesz innego!

I na nowo rozpoczęła się scena. Gdy wreszcie uiczyła ta burza całogodzinna i mógł się wytłómaczyć, przysięgał, że nie wie, co się stało; że to mogło pochodzić tylko z niechęci czyjejs albo z zemsty.

Wyzwolił go nakoniec odgłos dzwonka: gość przyszedł na obiad.

Pani Oveille opowiedziała mu rzecz całą, dodając, że nie myśli kupić parasola i że mąż nie dostanie już żadnego.

Gość przekonywał ją bardzo rozsądnie:

— W takim razie będzie niszczył ubranie, co z pewnością więcej wyniesie.

Ciągle rozszłoszczona, odrzekła kobiecina:

— To będzie chodził z kuchennym; już mu nie sprawię jedwabnego.

Pomysł ten oburzył pana Oveille.

— Jeśli tak — rzekł — to się podam do dymisji, a z kuchennym parasolem nie będę chodził do ministerium!

— Dajcie państwo ten do pokrycia — odezwał się gość. — To nie kosztuje bardzo drogo.

Pani Oveille, nie mogąc ochłonąć z gniewu, zaczęła bełkotać:

— Za pokrycie trzeba dać co najmniej ośm franków. Ośm a ośmnaście — dwadzieścia sześć! Dwadzieścia sześć franków za parasol, ależ to szaleństwo! To wariacja!

— Zwróćcie się państwo do towarzystwa asekuracyjnego: ono wynagradza za przedmioty spalone, byleby się ten wypadek zdarzył u was w domu — odezwał się gość, ubogi burżoa.

Rada ta, uspokoiła ją odrazu; po chwili namysłu, rzekła do męża:

— Jutro, przed udaniem się do biura, pójdziesz do *Maternelle*, żeby przedstawić stan parasola i zażądać wynagrodzenia szkody.

P. Oveille podskoczył na krześle.

— Nigdy w życiu nie odważę się na to! Stracimy osiemnaście franków i koniec. Nie zrujnuje nas to.

Nazajutrz wyszedł z laską; na szczęście była piękna pogoda.

Pani Oveille pozostawszy sama w domu, nie mogła się pocieszyć po stracie swoich osiemnastu franków. Położyła parasol na stole w jadalnym pokoju i wciąż krążyła dokoła niego, nie mogąc nic postanowić.

Myśl o asekuracji nasuwała jej się co chwila, lecz

także nie miała odwagi narazić się na szydercze spojrzenia panów urzędników; była bowiem bardzo nieśmiała: za lada czem rumieniała się i dużo ją kosztowało przemówić do nieznanego.

Jednak żal po ośmnastu frankach jej dolegał, jak bolesna rana. Nie chciała już o nich myśleć, ale wspomnienie tej straty ustawicznie ją dręczyło. Co robić? Godziny mijały, a jeszcze nic nie postanowiła. Nagle, jak tchórz, co naraz staje się zuchwałym, powzięła decyzję:

— Otóż pójdę—i zobaczymy, czy sobie nie dam rady!

Ale przedewszystkiem trzeba było przygotować parasol, żeby szkoda była widoczna i sprawa łatwa do wygrania. Wziąwszy zapalną z kominka, wypaliła pomiędzy fiszbinami dziurę wielkości dłoni; potem ostrożnie zwinęła parasol ze szczytkami materyi, spięła go sznurkiem elastycznym, ubrała się w kapelusz i szal — i szybko podążyła ku ulicy Rivoli, gdzie się znajdowało towarzystwo asekuracyjne.

W miarę zbliżania się, zwalniała jednak kroku. Co ja im powiem? Co oni mi odpowiedzą?

Przyglądała się numerom domów: jeszcze ich ma przed sobą dwadzieścia ośm. Bardzo dobrze! jest czas do namysłu, szła coraz wolniej, — nagle wzdrygnęła się, ujrawszy drzwi z napisem złotemi literami: *La Maternelle*, Towarzystwo asekuracyjne od ognia. Już! Zatrzymała się sekundę, strwożona, zawstydzona; potem minęła dom, wróciła, znów go minęła i znów wróciła.

Nareszcie powiedziała sobie:

— Trzeba jednak wejść: lepiej wcześniej niż później.



Ale wchodząc do wnętrza gmachu, zauważyła, że jej serce bije.

Weszła do obszernej sali z okienkami dokoła: w każdym okienku widać było głowę człowieka, którego osobę zasłaniała krata.

Ukazał się jakiś pan, niosący papiery; przystąpiwszy doń, zapytała głosem zalęknionym:

— Przepraszam pana, gdzie się tu udać po wypłatę za przedmiot spalony?

Odrzekł jej donośnym głosem:

— Pierwsze piętro, na lewo, w biurze ubezpieczeń od ognia.

Wyraz ten onieśmielił ją jeszcze bardziej; brała ją chęć uciec, nie powiedzieć, wyrzec się swoich ośmnastu franków; ale wspomnienie tej sumy dodało jej trochę odwagi i zdyszana weszła na górę, przystając na każdym stopniu.

Spostrzegłszy drzwi na pierwszym piętrze, zapukała.

— Proszę wejść!—odezwano się gromko.

Ujrzała się w dużej sali, gdzie trzech poważnych panów w orderach, rozmawiało stojący:

— Czego pani sobie życzy?

Straciwszy przytomność, wyjąkała:

— Ja przyszedłam... przyszedłam... względem... względem... powetowania szkody.

Ów pan wskazał jej grzecznie krzesło:

— Niech pani będzie łaskawa usiąść; za chwilę będę na jej rozkazy.

I powróciwszy do dwóch pozostałych, dalej mówił:

— Towarzystwo nie poczuwa się do większej należności względem panów, jak na cztery kroć sto ty-

sięcy franków. Nie możemy przystać na wynagrodzenie owych stu tysięcy, których panowie żądacie po nad tę sumę. Zresztą oszacowanie...

Jeden z przybyłych przerwał:

— Poprzestańmy na tem; trybunały zawyrokują. Nie pozostaje nam nic innego, jak odejść.

Ach, gdyby śmiała wyjść z nimi, nieomieszkałaby tego uczynić... Wyszłaby, zrzekając się wszystkiego! Ale czy mogła? — urzędnik powrócił i ukloniwszy się, rzekł:

— Czemże pani mogę służyć?

Z wielkiem wysileniem odpowiedziała:

— Przyszłam względem tego...

Dyrektor spojrzał z naiwnem zdziwieniem na przedmiot, który mu podawała.

Drżącą ręką próbowała odpiąć elastykę; gdy po kilku próbach, udało jej się to nakoniec, otworzyła nagle rozlatający się szkielet parasola.

Dyrektor rzekł ze współczuciem:

— Zdaje mi się bardzo chory.

Oznajmiła mu z wahaniem:

— Kosztował mnie dwadzieścia franków.

Zadziwił się.

— Doprawdy, tak dużo?

— Tak, był doskonały. Chciałam, żeby tu sprawdzono jego stan.

— Bardzo dobrze, widzę go. Bardzo dobrze. Ale niewiem, w ozem się to mnie może tyceć.

Ogarnął ją niepokój: może towarzystwo nie wynagradza za drobne przedmioty? rzekła więc:

— Ależ - on jest spalony ...

Dyrektor niezaprzeczył.

— Widzę.

Z otwartymi usty siedziała, niewiedząc już co powiedzieć. Naraz, przypomniała sobie pominiętą formalność, rzece więc spieszenie:

— Jestem panią Oveille. Zabezpieczeni jesteśmy w Maternelle, przychodzę zatem po wynagrodzenie tej szkody.

Lękając się stanowczej odmowy, żywo dodaje:

— Żądam tylko tego, żebyście go panowie kazali pokryć.

Dyrektor zakłopotany:

— Ależ... pani... my nie mamy składu parasoli i nie możemy się podejmować podobnych reparacyj.

Kobiecina odzyskała odwagę — trzeba walczyć — a więc będzie walczyła! Przestając się już lękać, odzywa się:

— Ja proszę tylko o pieniądze, a naprawą sama się zajmę.

Dyrektor z zafrasowaną miną, rzekł:

— Doprawdy, toby wyniosło bardzo mało. Nikt od nas nie żąda zwrotu za tak drobne szkody. Pani przyzna, że to rzecz bardzo dziwna, iż pan Oveille, który nie żądał wynagrodzenia strat na pięćset franków, teraz żąda pięciu lub sześciu franków za naprawę parasola.

Niezmieszana bynajmniej, odparła:

— Przepraszam pana, tamte pięćset franków zostały kieszeni pana Oveille, te zaś ośmnaście odnoszą się do kieszeni pani Oveille, — a to nie wychodzi na jedno.

Widząc, że się jej nie pozbędzie i zmitręży cały dzień, zapytał z rezygnacją:

— Niechże pani będzie łaskawa opowiedzieć mi, w jaki sposób stał się ten wypadek.

Pewna zwycięstwa, przystąpiła do rzeczy.

— Oto tak było: mam w sieni sprzęt bronzowy do stawiania parasoli i lasek. Parę dni temu, wróciwszy z miasta postawiłam go tam; a trzeba panu wiedzieć, że właśnie po nad tym sprzętem znajduje się półeczka do stawiania lichtarzy i zapalek. Wyciągam rękę i biorę cztery zapalki: pocieram jedną — chybia, zapalam drugą, zapala się i gaśnie natychmiast; pocieram trzecią—toż samo.

Dyrektor przerywa, żeby wsunąć koncept.

— Więc to były zapalki rządowe?

Pani Oveille nie zrozumiała i mówi dalej:

— Może być. Bądź co bądź, o czwartą rozpaliłam lichtarz i poszłam do mego pokoju, żeby się położyć. Ale w jaki kwadrans zdawało mi się, że czuć spaleniźnę. Ja się zawsze boję ognia. O! jeśli u nas będzie kiedy pożar, to nie z mojej winy! zwłaszcza też od czasu tego ognia z komina, o którym panu mówiłam, — umieram ze strachu. Wstaję więc, idę, szukam, węższą wszędzie jak pies gończy i w końcu widzę, że się mój parasol pali. Musiała weń wpaść zapalka. Widzi pan, co się to z niego zrobiło...

Dyrektor, poddawszy się już swemu losowi, zapytał:

— Ileż pani ceni tę szkodę?

Zrazu umilkła, nieśmiejąc oznaczyć cyfry; poczem, choć się znaleźć z pańska, rzecze:

— Niechaj go towarzystwo samo da naprawić; ja się spuszczę na panów.

Odmówił.

— Nie, pani, to jest niepodobieństwem. Proszę mi powiedzieć, ile pani żąda.

— Ależ... zdaje... mi... się... że... Niechcę wyzyskiwać pana... więc tak zrobimy: zaniosę parasol do fabrykanta, który go pokryje dobrą, trwałą materią jedwabną i przyniosę panu rachunek, zgoda?

— Bardzo dobrze; a więc rzecz skończona: oto kartka do kasy, która zwróci pani koszt.

Podał pani Oveille kartkę, ona zaś schwyciwszy ją, zerwała się żywo z obawy, żeby się nie rozmyślił.

Szła teraz rażnym krokiem po ulicy, szukając eleganckiego składu parasali; znalazłszy wykwintny sklep, weszła, mówiąc pewnym głosem:

— Oto parasol do pokrycia jedwabną, bardzo dobrą materią; najlepszą jaka tylko jest — o cenę mi nie idzie.



## R y g i e l.

Na stole stały cztery kieliszki niedopite, co jak za zwyczaj wskazywało, że biesiadnicy już są przepici: mówili wszyscy razem, nieczekając odpowiedzi; głosy; ich stały się krzykliwe, gesta rubaszne, oczy iskrzące się.

Był to obiad starych, zatwardziałych kawalerów, którzy przed dwudziestu laty ustanowili tę doroczną ucztę, pod nazwą: „Celibatu”. Czternastu miało wówczas stały zamiar nie żenić się; teraz pozostało ich czterech: trzech umarli, a siedmiu weszło w związki małżeńskie.

Ci czterej ostro się trzymali, strzegąc o ile się dało, najskrupulatniej ustaw tego osobliwego stowarzyszenia. Z dłonią w dłoń, poprzysięgli oni sobie, sprowadzać z tak zwanej prawej drogi, jak najwięcej żon, ubiegając się za żonami swoich znajomych, a bardziej jeszcze — swoich serdecznych przyjaciół. Dlatego też jak tylko który z nich występował z Towarzystwa, chcąc założyć rodzinę, pod jakimkolwiek pozorem zrywał stosunki z dawnymi kolegami.

Prócz tego, przy każdym z tych obiadów mieli się spowiadać przed sobą i wyjawiać swe najświeższe przygody, nieprzemilczając szczegółów, nazwisk i dokładnych objaśnień. Ztąd poszło pomiędzy nimi w przysłowie: „kłamać jak stary kawaler”.

Głosili oni najzúpełniejszą pogardę dla kobiety, nazywając ją: zwierzęciem służącym do przyjemności. Co chwila, przytaczali Szopenhauera, swoje bożyszcze; marzyli o przywróceniu haremów i domów dla podrzutków; na białej stołowej używanej do obiadu celibatowego, kazali wyhaftować tę starą maksymę: „*Mulier perpetuus infans*” a poniżej, wiersz Alfreda de Vigny:

Kobieta, to dziecię chore i po dwanaście kroć nieczyste!

Słowem, pogardzając tak bardzo kobietami, o nich tylko myśleli, dla nich żyli, ku nim zwracali wszystkie dążenia, wszystkie swe chęci.

Odstępcy, którzy się poženili, nadawali im miano starych umizgalskich: wysmiewali ich, ale się i lękali.

Pojawienie się szampana na stole, miało być hasłem do rozpoczęcia zwierzeń przy obiedzie „Celibatu”.

Owego dnia, ci starzy, byli już bowiem starzy, — a im się bardziej starzeli, tem osobliwsze opowiadali o sobie przygody miłosne. Otóż owego dnia, ci starzy byli niewyczerpani. Każdy od miesiąca uwiódł, co najmniej, jedną kobietę dziennie; a jakie kobiety! najmłodsze, najdostojniejsze, najbogatsze, najpiękniejsze!

Gdy skończyli swe opowieści, ten co pierwszy zabierał głos, a potem wysłuchać musiał innych, podniósł się i rzekł: — Teraz, kiedyśmy skończyli blagować, opowiem wam nie ostatnią, lecz pierwszą moją awanturę, a rozumiem przez to pierwszą awanturę w mojem życiu, pierwszy upadek (bo to jest upadkiem) w objęciu kobiety. O, nie będę wam opisywał mojego... jak że to powiedzieć... mojego... debiutu, nie. Przeskoczenie pierwszego rowu niema w sobie nic

interesującego. Zazwyczaj jest on błotnisty, więc wstajemy z niego trochę zawalani, rozczarowani, nieco smutni i pewnym niesmakiem trapieni. Pierwsze dotknięcie się tej realnej strony miłości, budzi pewną odrazę. Wyobrażaliśmy sobie, że miłość jest inną, delikatniejszą, subtelniejszą. Pozostawia nam ona moralne i fizyczne uczucie obrzydzenia, jak kiedy dotkniemy przypadkiem ręką czegoś brudnego, a niema wody, żeby się obmyć. Napróżno oboieramy rękę, przylega to mocno.

Tak, ale łatwo i prędko oswajamy się. Prawda, dajemy się woiągnąć.

Otóż opowiem wam o pierwszej mojej kobiecie, z towarzystwa, którą uwiodłem, przepraszam, ocbiałem powiedzieć, która mnie uwiodła. W początkach, my się dajemy usidlać, ale za to potem... dzieje się tak samo.

Była to przyjaciółka mojej matki, czarująca kobieta. Te istoty, gdy są onotliwe, to zazwyczaj przez głąpotę; a gdy zakochane, to do szału! Oskarżają nas, że je psujemy! Zapewne! z nimi nigdy niemożna być dośyć ostrożnym, nibyto zachowują się biernie, ale dalekie są od tego: znienacka robią z nami, co się im podoba, a potem oskarżają żeśmy je zgubili, znieważyli, sohańbili...

Ta, o której mówię, z pewnością szalała. Miała może lat trzydzieści pięć, a ja zaledwie dwadzieścia dwa i zarówno nie myślałem ją uwodzić, jak zostać trapiącą. Otóż, pewnego dnia, kiedym jej złożył wizytę i ze zdumieniem przyglądałem się negliżowi, rozwartemu szeroko jak brama, wzięła moją rękę, uścisnęła, wiecie jak one ściskają w podobnych chwilach i z omdle-

wajacem westchnieniem, z tem westchnieniem, co nie z serca pochodzi, rzekła:—Ach, nie patrz tak na mnie, moje dziecko.

Zaczerwieniłem się jak pomidor i rozumie się, że byłem jeszcze mniej śmiały niż zwykle. Byłbym chętnie odszedł, ale mię trzymała za rękę — i to mocno. Położyła ją na swem łonie, na pulchnem łonie, i rzekła: Dotknij się serca jak mi bije. Prawda, że biło. Zaczynałem się dorozumiewać; ale nie wiedział jak przystąpić do rzeczy, od czego zacząć. Zmieniłem się od owego czasu. Kiedym tak stał z jedną ręką na tłustej powłoce jej serca, w drugiej trzymając kapelusz — i wpatrzony w nią z uśmiechem pomieszany, głupowatym, zalęknionym, — wyprostowała się nagle i rzekła gniewnym głosem: — Ależ co ty robisz, młodzieńcze; jesteś nieprzyzwoity i niedelikatny. Cofnąłem rękę bardzo szybko, przestałem się uśmiechać, wybełkotałem przeproszenie i wyszedłem przestraszony, nieprzytomny.

Alem już wpadł w sidła; marzyłem o niej. Wydała mi się urocza, cudowna. Wyobrażałem sobie że ją kocham, że ją zawsze kochał; postanowiłem być śmiałym, nawet zuchwałym!

Kiedym ją potem zobaczył po raz pierwszy, uśmiechnęła się zlekka. O, ten uśmiech — jakże mię wzburzył! Ucisnęła mię za rękę długo, znacząco.

Od owego dnia podobno zalecałem się do niej, przynajmniej ona utrzymywała, że ją uwiódł, podszedł z rzadkim machiawelizmem, ze szczególną zręcznością... wytrwale jak matematyk, podstępnie jak Apasz.

Jedna rzecz nie dawała mi spokoju; oto, gdzie się

dokona mój tryumf? Mieszkałem z rodziną moją, bardzo surową pod tym względem; nie byłem dosyć śmiały, żeby wśród białego dnia wejść do hotelu z kobietą pod rękę; nie wiedziałem też od kogoby zasięgnąć rady; ale gdy moja przyjaciółka utrzymywała raz, wśród żartobliwej rozmowy, że każdy młodzieniec powinien mieć pokój na mieście (mieszkaliśmy wówczas w Paryżu), było to dla mnie światłem błyskawicy — wynajęłam pokój i — przyszła.

Przyszła w pewien dzień listopadowy; a odwiedziły te, które byłbym wolał opóźnić, nabawiły mnie wielkiego kłopotu, gdyż pokój był nie ogrzany z powodu, że kominek dymił.

W wigilię właśnie zrobiłem o to scenę gospodarzowi, który obiecał, że w ciągu dwóch dni, przyjdzie z mularzem, żeby się przekonać, jakiej trzeba naprawy.

Gdy weszła, oznajmiłem jej zaraz na wstępie, że niemam ognia, bo się kominek dymi. Zdawało się, że mnie nawet nie słucha, ale szepnęła: — Nic nie szkodzi, ja go mam.

Widząc moje zdumienie, umilkła ze wstydu; po chwili jednak znów się odezwała: — Już nie wiem, co mówię... waryuję... odchodzę od przytomności... Co ja robię, Boże mój! Po com tu przyszła, nieszczęsna! Ach, co za wstyd! Co za wstyd! Tu, ze łkaniem padła w me objęcia.

Uwierzywszy jej wyrzutom sumienia, przysięgłem że ją uszanuję; wtedy rzuciła mi się do nóg, jęcząc: — Ty chyba nie widzisz, że cię kocham, żeś mię zwałczył, żeś mię do szalu doprowadził.

Zdawało mi się, że to właściwa pora do przypusz-



ozenia szturm; tymczasem ona drgnęła, zerwała się i uciekła aż do szafy, żeby się schronić,— krzyząc:— O, nie patrz na mnie, nie, nie! Wstyd mi światła dziennego. Gdybyś mnie przynajmniej nie widział, gdybyśmy choć byli w ciemnościach, wśród nocy, we dwoje. Wyobrażasz to sobie? Co za sen uroczy! Ach, to światło!

Poskoczywszy do okna, zamknąłem okiennice, zasunąłem firanki, powiesiłem paltot na promyku wdzierającego się światła; potem wyciągnąwszy przed siebie ręce, żeby się nie potknąć o krzesło, z bijącym sercem szukałem ją i znalazłem.

Wtenczas, w ekstazie, w uniesieniu, zapomniałem o wszystkim. Następnie ogarnęło nas rozkoszne znużenie, usnęliśmy więc. Miałem nawet sen i wśród tego snu, wydało mi się, że ktoś mię woła, wzywa na pomoc; potem uderzono mię mocno — otworzyłem oczy.

Ach, zachodzące, czerwone, wspaniałe słońce wniknęło przez otwarte naocież okno i zdawało się patrzeć na nas z brzegu horyzontu, jakby w apoteozie. Żeby schwycić choćby kawałek choć rąbek firanki, o cokolwiek! Na środku pokoju, zmieszani stali obok siebie — gospodarz w zwierzechniem ubraniu wlepiający w nas głupowate oczy, odźwierny i mularz, czarny jak dyabeł.

Zerwałem się jak wściekły, gotów za kołnierz porwać gospodarza i krzyknąłem: — Co pan tu robisz?

Mularza taki śmiech opanował, że upuścił blachę żelazną, którą trzymał w ręku, odźwierny miał taką minę, jak gdyby zmysły postradał, a gospodarz bełkotał: — Ależ, panie, to... to... względem kominka...

względem kominka...—Wyjdź pan ztąd natychmiast!—wrzasnąłem.

Zdjął z głowy kapelusz, z pomieszaniem, pełen grzeczności i wychodząc tyłem szeptał: — Przepraszam pana. Racz pan wybaczyć. Gdybym wiedział że przeszkodzę, nie przyszedłbym. Odźwierny zapewnił mię, że pana niema w domu. Przepraszam pana!.. Wyszli nakoniec.

Od owego czasu, nigdy już nie zamykam okien, ale za to zawsze rygluję drzwi.

## Spotkanie.

Był to traf, rzeczywisty traf. Baron d'Etraille, zmęczony stanem, wszedł do pustej i prawie ciemnej sypialni księżnej, po za oświetlonemi salonami, z okazji bowiem świetnego balu, cały apartament otwarty

Szukał krzesła, żeby się przespać; pewien, iż jego żona nie zechce odjechać do samego rana. Zaraz we drzwiach spostrzegł on szerokie łoże lazuruowe w złote kwiaty, wznoszące się na środku pokoju, jak katafalk, na którymby leżały zwłoki miłości, gdyż księżna była już niemłoda. W tyle, duża przejrzysta plama wyglądała jak jezioro widziane z wysokiego okna. Było to zwierciadło olbrzymie, dyskretne, przybrane ciemnymi draperjami, które spuszczano czasem, niegdyś zaś rozsuwano często. Zwierciadło to zdawało się spoglądać na łoże, jak na swego współnika. Rzekłbyś, że ma wspomnienia i żale, jak zamki nawiedzane przez upiory i że na jego powierzchni gładkiej i pustej, ujrzysz przesuwające się śliczne kształty, oraz rozkoszne ruchy ramion, obejmujących się do uścisku.

Baron przystanął z uśmiechem i trochę wzruszony, na progu tego przybytku miłości. Nagle — jakby duchy wywołane, ukazało się ooś w zwierciadle. Dwie

osoby, siedzące na sofie bardzo niskiej i ukrytej w cień, powstały, a gładki kryształ odbił ich postaci całujące się przed rozstaniem.

Poznawszy swoją żonę i markiza de Cervigné, odwrócił się baron i wyszedł, jako człowiek silny i panujący nad sobą. Do białego dnia czekał, żeby odwiedzić żonę, ale mu się już odechoiało spać.

Skoro tylko znalazł się z nią sam na sam, rzekł:

— Widziałem panią w pokoju księżnej de Raynes; nie potrzebuję tłumaczyć się jaśniej. Nie lubię wymówek gwałtownych, ani śmieszności; więc żeby tego uniknąć, rozstaniemy się bez hałasu. Prawnicy zajmą się uregulowaniem położenia pani, według moich zaleceń. Nie będąc już pod moim dachem, będziesz pani mogła żyć według upodobania; ale ponieważ nosisz nazwisko moje, uprzedzam cię, że w razie jakiego skandalu, będę zmuszony być surowym.

Chciała przemówić, lecz on niedopuszczając do tego, ukłonił się i poszedł do swego apartamentu.

Doznawał on raczej zdziwienia i smutku, aniżeli bólu: w początkach pożycia małżeńskiego, bardzo ją kochał, lecz z wolna ustając w swym zapale, miewał już teraz miłości za kulisami i w wielkim świecie, jakkolwiek żona wywierała nań jeszcze pewien urok.

Baronowa bardzo jeszcze młoda, liczyła bowiem zaledwie lat dwadzieścia cztery, była to mała, niezmiernie jasna blondynka, ohuda, — za ohuda, istna lalka paryzka, wykwintna, rozpieszczona elegantka, kokietka, dosyć inteligentna, raczej powabna niż piękna. Mawiał on poufnie do swego brata: — Moja żona jest czarująca, urocza, tylko... nie czuje się jej w rękę.

Podobna do tych kieliszków szampana, gdzie niema nic prócz piany. Kiedyś się już dostał do dna, smakuje ci to, ale jest zamało.

Chodził po swym pokoju, wzdłuż i wszerz, wzburzony i zadumany o przeróżnych rzeczach. Chwilami ogarniał go gniew, byłby oboiał, poprostu, zbić markiza, albo go spoliczkować publicznie. Zastanawiał się jednak niebawem, że byłoby to w złym smaku, że śmiałoby się z niego, nie z markiza i że te jego uniesienia pochodzą z obrażonej miłości własnej, nie z serca zranionego. Położył się, ale nie spał.

W kilka dni potem, Paryż dowiedział się, że baronowstwo d'Etraille rozeszli się, za wspólnem porozumieniem z powodu niezgodnych usposobień. Nic nie podejrzewano, nie szeptano, nie dziwiono się.

Ażeby uniknąć jednak przykrych spotkań, baron podróżował cały rok. Potem lato spędził w kąpielach morskich, jesień na polowaniu, a na zimę wrócił do Paryża. Żony swojej nie widział ani razu.

Wiedział, że nic o niej nie mówiono, że szanuje przynajmniej pozory, a więcej nic od niej nie żądał.

Znudzony, udał się znów w podróż; następnie odnowił swój zamek w Villebosc, co mu zajęło dwa lata, potem przyjmował tam gości, na czem zeszło mu jakich piętnaście miesięcy. Po upływie tego czasu, ponieważ mu spowszedniały jednostajne przyjemności, wrócił do swego pałacu przy ulicy de Lille. Było to w sześć lat po rozstaniu się z żoną.

Miał on teraz lat czterdzieści pięć, sporo siwych włosów, trochę zaokrąglającą się już postać i gnębiony był tym smutkiem, co nawiedza ludzi niegdys pięk-



nych, poszukiwanych, kochanych, obecnie zaś z każdym dniem coś utracających.

W miesiąc po swoim powrocie do Paryża, zaziębił się wychodząc z klubu i dostał kaszlu; wskutek czego lekarz zalecił mu pobyt w Nizy, do końca zimy.

Wyjechał w pewien poniedziałek, wieczornym pociągiem.

Ponieważ spóźnił się trochę i pociąg już ruszał, wskoczył do pierwszego wagonu, gdzie było wolne miejsce. W głębi siedział ktoś na fotelu, tak pozawijany w futra i okrycia, że nie mógł odgadnąć, czy to mężczyzna czy kobieta, widać było tylko długi pakiet odzieży. Baron, miarkując że nie rozwiąże tej zagadki, usadowił się także, włożył na głowę podróżną czapkę, rozwinął pled otulił się nim, rozciągnął i usnął.

Obudziwszy się o świcie, zaraz spojrzął na towarzysza, który nie poruszył się widać całą noc i zdawał się jeszcze w głębokim śnie pogrążony.

P. d'Etraille skorzystał z tego, żeby się zająć swą ranną toaletą: uczesać brodę i włosy, nadać inny wygląd twarzy, którą noc zmienia tak bardzo... tak bardzo... skoro się doszło do pewnego wieku.

Wielki poeta powiedział:

Quand on est jeune on a des matins triomphants!

W młodości piękne bywa przebudzenie, skóra jest świeża, oko błyszczące, włosy połyskliwe.

W późniejszym wieku smutna to chwila, oko jest przyćmione, twarz zaczerwieniona i obrzękła, w ustach niesmak, roztargane włosy i broda, nadają wyraz starości, zmęczenia, kresu życia.

Baron otworzył swą podróżną toaletkę i doprowadził się do porządku przy pomocy szczotek; potem czekał.

Pociąg gwizdnął i stanął; sąsiad poruszył się, pewnie się obudził. Parochód znów puścił się w bieg. Ukosny promyk słońca wnikał teraz do wagonu, padając w poprzek tej śpiącej osoby, która się znowu poruszyła, wstrząsnęła kilka razy głową, jak kurczę, wydobywając się ze swej skorupy i spokojnie ukazała twarz.

Była to młoda jasnowłosa kobieta w całym blasku świeżości, bardzo ładna i pulchna. Usiadła.

Baron przyglądał jej się ze zdumieniem. Niewiedział, co myśleć. Doprawdy, gotówby przysiąc, że to jego żona, ale żona jego nadzwyczajnie zmieniona... na korzyść; utyla, o! utyla, tak samo jak on, tylko że ją to upiękaczyło!

Ona patrzyła nań obojętnie; zdawało się, że go nie poznaje. Spokojnie zrzucała z siebie okrycia.

Miała pewność siebie kobiety ufnej w swe siły i z zuchwałą śmiałością budziła się, wiedząc i czując że jest w pełni kraszy i świeżości.

Baron tracił głowę.

Czy to jego żona? Czy może inna podobna do niej jak siostra? Nie widział jej od sześciu lat, więc się mógł omylić.

Ziewnęła, — poznał jej gest. Ale znowu zwróciła się ku niemu, przebiegła po nim, objęła go wzrokiem spokojnym, obojętnym; poczem zaczęła się przyglądać okolicy.

Zmieszany, zakłopotany strasznie, czekał baron, uporozywie przyglądając jej się z boku.

Ależ tak, to jego żona! Jak mógł wątpić! dwóch takich nosów niema na świecie. Opanowały go tysięczne wspomnienia,—pieszczoty, drobne szczegóły. Ogarniało go dawne upojenie, przypominała mu się woń jej skóry, uśmiech jej, gdy mu zarzucała ręce na ramiona, słodkie dźwięki głosu, przymilanie się pełne wdzięku.

Ale jak się zmieniła, jak wypiękniała — zarazem ona i nie ona! Wydawała mu się dojrzałą, bardziej wykończoną, bardziej kobietą, powabniejszą, większą.

A więc, ta kobieta obca, nieznaną, spotkana przypadkiem w wagonie, jest jego, należy doń w obec prawa. Dosyć, aby powiedział: — Ja chcę.

Niegdyś żył w jej miłości, teraz odnalazł ją tak zmienioną, że zaledwie ją poznał. Była to inna i jednocześnie — ona. Była to inna, która się narodziła, ukształtowała, urosła, odkąd ją opuścił; a zarazem była to ona; ta sama, którą posiadał, której poznał teraz układ odmienny, dawne rysy bardziej uformowane, uśmiech mniej lalkowaty, ruchy pewniejsze. Były to dwie kobiety w jednej, zlepek rzeczy nowych, nieznanych i wspomnień drogich. Było to coś osobliwego, coś wzburzającego, podniecającego, rodzaj tajemnicy miłości, w której falował rozkoszny chaos. Była to jego żona w nowym ciele, którego usta jego jeszcze nie ucałowały.

I myślał o tem, że w przeciągu lat sześciu wszystko się w nas zmienia; tylko kontur można poznać, a i ten zacierą się czasem.

Krew, włosy, skóra, wszystko się odnawia, wszystko się przekształca. Gdyś kogoś długo nie widział, od-

najdujesz osobę całkiem odmienną, chociaż jest tą samą i to samo nazwisko nosi.

I serce może się zmieniać, ideje także się modyfikują, odnawiają, — tak dalece, iż żyjąc lat czterdzieści, możemy, przez powolne a nieustanne przekształcanie się, stać się czterema lub pięcioma istotami, całkiem nowymi i odmiennymi.

Dumał, poruszony do głębi duszy. Nagle przypomniał mu się ów wieczór, kiedy ją spostrzegł niespodzianie w pokoju księżnej. Nie wstrząsnął nim gniew, bo nie miał przed oczami tej samej kobiety, tej dawnej laleczki chudej i żywej.

Co robić? Przemówić? Co jej powiedzieć? Czy go poznała?

Pociąg znowu miał się zatrzymać, baron podniósł się, ukłonił i rzekł: — Berto, czy ci nie potrzeba? Mógłbym ci przynieść.

Objąwszy go okiem od stóp do głów, odpowiedziała bez zadziwienia, bez zmieszania, bez gniewu, ze spokojną obojętnością. — Nie, nic mi nie trzeba, dziękuję.

Wysiadł i przeszedł się wzdłuż wagonów, żeby się otrząsnąć i przyjść do siebie, jakby po upadku. Co robić teraz? Wsiąść do innego wagonu? Zdawałoby jej się, że ucieka. Być ugrzecznionym, nadskakującym? Wyglądałoby to, jak gdyby przeproszał. Przemawiać jak władca i pan? Uszłoby to tylko prostakowi. Zresztą, niema już nawet prawa.

Wsiadł napowrót i zajął swe miejsce.

Ona także podczas jego nieobecności wzięła się na-

prędcie do swej toalety. Teraz leżała rozciągnięta na fotelu, nieruchoma, jaśniejąca.

Baron zwrócił się ku niej i rzekł: — Moja droga Berto, kiedy osobliwy traf zrządził, żeśmy się spotkali po sześćoletniem rozłączeniu, po rozstaniu się bez gwałtownych scen, — czy będziemy na siebie patrzyli, jak dwoje wrogów nieprzejednanych. Zamknęliśmy sam na sam? Tem gorzej, albo tem lepiej. Ja się ztąd nie ruszę, więc czy nie moglibyśmy gawędzić, jak... jak... jak... przyjaciela, do końca naszej podróży?

— Jak pan chcesz, — odrzekła spokojnie.

Wtedy zaciął się, niewiedząc, co powiedzieć, lecz jako człowiek śmiały, zbliżył się, usiadł na środkowym fotelu i rzekł z galanterią: — Widzę, że się trzeba ubiegać o względy pani; a więc dobrze i sprawi mi to zresztą przyjemność, bo jesteś zachwycająca. Nie możesz sobie wyobrazić, jak wyładniałaś od tych lat sześciu. Nie znam kobiety, któraby na mnie zrobiła tak miłe wrażenie, jak pani przed chwilą, kiedyś się wydobyła z tych futer. Doprawdy nie przypuszczałem, żeby taka zmiana była możliwą...

Nie odwracając głowy, nie patrząc nań, odparła: — Ja panu tego nie powiem, boś się bardzo zestarzał.

Zaczerwienił się, zmieszał, zawstydził i z uśmiechem wyrażającym rezygnację odpowiedział: — Jesteś pani nielitościwą.

Obróciła się ku niemu: — Dla czego? Ja tylko stwierdzam fakt. Przecież pan nie masz zamiaru ofiarować mi swej miłości, nieprawda? Jestto więc zupełnie obojętne, czy mi się podobasz lub nie. A to widzę, że ci ten przedmiot sprawia przykrość, mówmy zatem



o czem innym. Coś pan porabiał, odkądeśmy się nie widzieli?

Nie ochłonąwszy jeszcze, zaczął bąkać:—Ja? Podróżowałem, polowałem, starzałem się, jak pani widzi... A pani?

— Szanowałam pozory, według zalecenia pańskiego, — odpowiedziała spokojnie.

Brutalny wyraz wyrwał mu się na usta, nie wymówił go jednak, tylko pocałował żonę w rękę i rzekł: Dziękuję pani.

Zadziwiło ją to. Niezaprzeczenie jest silny i umie panować nad sobą, — pomyślała.

— Kiedyś pani przystała na pierwszą prośbę moją, — odezwał się znowu, — to może się i na to zgodzisz, żebyśmy teraz rozmawiali ze sobą bez goryczy?

— Bez goryczy? — powtórzyła, robiąc wzdargliwą minkę. Ależ, ja jej woale nie czuję. Pan mi jesteś zupełnie obcy. Staram się tylko ożywić utrudnioną rozmowę.

Usidlony, pomimo jej oschłości, wpatrywał się w nią ciągle, czując, że go ogarnia żądza nieprzeparta, żądza pana względem niewolnicy.

Wiedząc dobrze, iż go dotknęła boleśnie i chcąc się dalej pastwić nad nim, odezwała się znowu: — Ile pan masz lat? Zdawało mi się, żeś młodszy, niż się dziś wydajesz!

— Mam lat czterdzieści pięć, — odrzekł błędąc; potem dodał: — zapomniałem zapytać się pani co się dzieje z księżną de Raynes; czy widzisz ją jeszcze?

Rzuciła nań spojrzenie pełne nienawiści:

— Widujemy się; zdrowa jest, dziękuję.

Siedzieli obok siebie z sercem zamąconem, z rozdrażnieniem w duszy, lecz nagle odezwał się on: —

— Moja droga Berto, powziąłem inny zamiar: jesteś moją żoną i domagam się, żebyś wróciła dzisiaj pod mój dach. Zauważyłem, żeś zyskała dużo pod względem piękności oraz charakteru, więc zabieram cię. Jako mężowi, służy mi to prawo.

Zdumiona, patrzyła mu w oczy, choć wyczytała jego myśl, ale fizyonomia jego nie zdradzała nic, prócz stanowczości.

— Bardzo mi przykro — odrzekła, ale mam zobowiązania.

Uśmiechnął się: — Tem gorzej dla ciebie. Prawo daje mi siłę i będę z niej korzystał.

Przybywali do Marsylii, pociąg gwizdał i zwalniał bieg. Baronowa podniosła się i z niezachwianym spokojem pozwijała swe plecty, poczem zwracając się do męża, powiedziała: — Mój drogi Rajmundzie, nie nadużywaj tego sam na sam, które ja z umysłu urządziłam. Szło mi o to, żeby się zabezpieczyć, idąc za twoją radą i cokolwiekby nastąpi, nie lękać się ani ciebie ani ludzi. Jedziesz do Nizy, prawda?

— Dokąd ty pojedziesz, tam i ja.

— Wcale nie. Wysłuchaj mię tylko, a niezawodnie zostawisz mię potem w spokoju. Za chwilę zobaczysz na stacyi księżnę de Raynes i hrabinę Henriot, które mię oczekują z mężami. Chciałam, żeby nas zobaczono razem i żeby wiedziano, żeśmy przepędzili noc sami w tym przedziale. Nie bój się... te panie wszędzie to opowiedzą, tak im się ta rzecz wyda osobliwą.

Powiedziałam ci przed chwilą, że trzymając się skrupulatnie twych zaleceń, bacznie strzegłam pozorów. O nic więcej ci nie szło, prawda? Otóż, żeby nie zejść z tej drogi, zależało mi na tem spotkaniu. Kazałeś mi, nadewszystko, unikać skandalu, unikam go więc, mój drogi... bo się boję... bo się boję...

Zaczekała, żeby pociąg zupełnie stanął, i dopiero gdy grono jej znajomych przystąpiło dla otwarcia drzwiczek, dokończyła:

— Boję się... no pojmujesz... zostać matką.

Księżna wyciągnęła ramiona do uścisku, a baronowa powiedziała, wskazując na męża, który osłupiał i daremnie silił się odgadnąć prawdę.

— Czy księżna nie poznaje Raymunda? Rzeczywiście bardzo zmieniony. Ofiarował się towarzyszyć mi, żebym nie odbywała tej podróży sama jedna. Czasami robimy takie wycieczki, jako para dobrych przyjaciół, niemogących żyć z sobą. Ale rozstaniemy się tutaj, bo już mnie ma dosyć. Wyciągnęła rękę, którą wziął machinalnie; potem wyskoczyła z wagonu do oczekującej ją gromadki.

Baron porywczo zamknął drzwiczki, zbyt wzburzony, aby zdołał przemówić słowo, lub powziąć jakie postanowienie. Słyszał głos i śmiech oddalającej się żony swojej.

Nie zobaczył jej już nigdy.

Czy kłamała, czy prawdę mówiła, pozostało to dlań nazawsze tajemnicą.

## Samobójstwo.

---

Rzadki jest dzień, żeby się nie wyczytało w jakim dzienniku wiadomość następującą:

„W nocy, ze środy na czwartek, w domu pod numerem 40 przy ulicy... obudziły mieszkańców dwa wystrzały, jeden po drugim, które się rozległy z lokalu pana X. Po otwarciu drzwi, okazało się, że lokator leży obłany krwią, trzymając w rękę rewolwer, którym się zabił. Pan X. miał lat pięćdziesiąt siedm, był dosyć zamożny i nic mu nie brakowało do szczęścia. Przyczyna tego fatalnego kroku jest całkiem niewiadomą.”

Jakież to głębokie cierpienia, jakie rany serca, jakie rozpacz tajone, jakie zgryzoty dotkliwe skłaniają tych szczęśliwców do samobójstwa? Ludzie usiłują to odgadnąć; wyobrażają sobie dramata miłosne, podejrzewają klęski materyalne, a nieodkrywszy nic pewnego, nazywają śmierć taką: „tajemnicą”.

Wpadł nam do rąk list znaleziony na stole jednego z tych „samobójców bez przyczyny”; napisany ostatniej nocy, obok pistoletu nabitego. Wydaje nam się on interesujący: nie wyjawia żadnej z tych wielkich katastrof, jakich się zwykle szuka poza temi aktami rozpa

czy, lecz przedstawia stopniowe gromadzenie się drobnych przykrości życia, rozstrój fatalny samotnej egzystencji, z której pierzochły już marzenia; wyjaśnia przyczynę śmierci tragicznych, tylko dla nerwowych i wrażliwych ludzi zrozumiałą:

„Północ. Gdy skończę ten list zabiję się. Dlaczego? Postaram się na to odpowiedzieć, nie dla tych co będą czytać te słowa, lecz dla siebie, dla wzmocnienia niknącej odwagi, dla wpojenia w siebie przekonania, że ten czyn jest konieczny, a nawet nieuchronny teraz i że mógłby tylko być odroczone.

Zostałem wychowany przez rodziców prostych i wierzących we wszystko, i ja wierzyłem, jak oni.

Sen mój trwał długo, a ostatnie szczątki jego teraz się dopiero rozwiały.

Już od lat kilku dzieje się we mnie pewne zjawisko: Wszystkie wypadki życia, które dawniej jaśniały w moich oczach jak zorze, zdają się tracić swe barwy; widzę w nagiej rzeczywistości znaczenie rzeczy; prawdziwa przyczyna miłości odstręczyła mnie nawet od poetycznych uczuć.

Jesteśmy wiecznymi igraszkami złudzeń niedorzecznych i uroczych, które się ciągle wznawiają.

W miarę jakiem się starzałem, coraz filozoficzniej spoglądałem na nędzne życie człowieka, na bezowocność jego wysiłków i omylną nadziei, tymczasem dzisiejszego wieczoru, po obiedzie, znikomość wszechrzeczy ukazała mi się w nowym świetle.

Dawniej byłem wesoły! wszystko mię zachwycało: kobiety przechodzące, ruch uliczny, mieszkanie własne, nawet mię interesował krój mego ubrania; ale po-



wtarzanie się tych samych widoków, napełniło mi na koniec serce znużeniem i nudą, — zupełnie jak komuś, któryby chodził co wieczór do tegoż samego teatru.

Codziennie o tej samej godzinie, od lat trzydziestu wstaję; w tej samej restauracyi, od lat trzydziestu, o tej samej porze, jadam te same potrawy, podawane mi przez rozmaitych garsonów.

Próbowałem podróžować, ale mię przerażało osamotnienie, jakiego się doznaje w nieznanym miejscu. Czułem się tak samotny na świecie i tak mały, że czemprędzej powróciłem do domu. Lecz znowu niezmienna fizyonomia mebli, od lat trzydziestu stojących na tem samem miejscu, zniszczonych foteli, które znalazłem nowemi, woń mego mieszkania, (każde bowiem z czasem nabiera jakiejś woni), wzbudzały we mnie, co wieczór, mdłości swą monotonią i czarną melancholią z powodu, że tak żyć muszę.

Wszystko się powtarza ustawicznie i męcząco. Nawet sposób, w jaki kładę klucz w zamek wracając do domu, miejsce, gdzie znajduję zapałki, pierwsze spojrzenie rzucone na pokój po rozpaleniu się fosforu, wzniesając we mnie chęć wyskoczenia oknem, aby położyć kres tym jednostajnym zdarzeniom, których nigdy nie możemy uniknąć.

Codziennie, gdy się golę, ogarnia mię nieprzeparty pociąg poderżnąć sobie gardło; a na widok mej twarzy, zawsze tej samej, która się odbija w lusterku, pomazana mydłem, kilka razy płakałem ze smutku.

Nie mogę się już widywać z ludźmi, których towarzysztwo sprawiało mi niegdyś przyjemność, tak dalece ich znam, tak wiem co mi powiedzą i co im odrzeknę,

tak mi jest wiadomy ich niezmienny sposób myślenia i rozumowania. Każdy mózg jest podobny do cyrku, w którym zamknięty biedny koń, wiecznie się obraca w koło. Pomimo największych wysiłków naszych, zabiegów, wykrętów, granica jest zawsze bliska i zaokrąglona, bez niespodzianych załamów i drzwi wiodących w nieznane krainy. Trzeba się obracać, obracać ciągle, wśród tych samych idei, tych samych uciech, tych samych żartów, tych samych nałogów, tych samych wierzeń, tych samych wstrętów.

Okropna była mgła dzisiejszego wieczoru. Na bulwarze, przyćmione beki gazowe, wyglądały jak kopące świece. Ciężar, większy niż zwykle, przygniatał mi barki; musiałem źle trawić.

Dobre trawienie jest bowiem wszystkim w życiu. Ono zdradza natchnienie w artystach, żądze miłosne w młodzieńcach, jasne idee w myślicielach, rozkosze życia w każdym; ono pozwala dużo jeść (co także jest szczęściem). Chory żołądek usposabia do sceptycyzmu, do podejrzliwości; pobudza do myśli ponurych i pragnienia śmierci. Bardzo często nasuwało mi się to spostrzeżenie. Możebym się nie zabił, gdybym dobrze trawił dzisiejszego wieczoru.

Usiadłszy w fotelu, w którym siadam od lat trzydziestu, rzuciłem okiem do koła siebie i taki straszny smutek mię opanował, że mi się zdawało, iż dostaję obłąkania.

Rozmyślałem, cobym mógł robić, żeby uciec od samego siebie, ale wszelkie zajęcia przerażało mię gorzej jeszcze od bezczynności; w końcu postanowiłem uporządkować papiery.

Dawno już oboiałem zrobić ład w szufladach, bo od lat trzydziestu, rzucam listy i rachunki do jednego sprzętu i chaos ten narobił mi nieraz kłopotu. Ale sama myśl o porządkowaniu czego, tak mię nuży moralnie i fizycznie, że się nigdy nie odważyłem wziąć do tego wstrętnego zatrudnienia.

Usiadłszy przy sekretarzyku, otworzyłem go, chociaż przejrzeć stare papiery i zniszczyć znaczną ich część.

Zrazu wpatrywałem się zmieszany w ten stos pozostałych arkuszy, potem wziąłem z nich jeden.

O, nie dotykaj nigdy tego sprzętu, tego omentarza dawnych korespondencyj, jeśli ci miłe życie! A jeżeli go otworzysz przypadkiem, schwyć pełną dłońią listy, zamknij oczy, żeby nie przeczytał ani jednego słowa, żeby nie poznał pisma dawno zapomnianego, któreby cię nagle pograżyło w oceanie wspomnień; poniesz do ognia te zabójcze papiery i gdy się w popiół obróca, zmiążdż jeszcze na pył niewidzialny... bo inaczej jesteś zgubiony... jak ja zgubiony jestem od godziny!...

Ach, pierwsze listy, jakie odczytałem, nie zajęły mię; były one zresztą świeżej daty i pochodziły od ludzi żyjących, których jeszcze dosyć często widuję i obecność ich mało mię obchodzi. Lecz nagle zadrżałem na widok jednej koperty: dużem szerokiem piśmem nakreślone było moje nazwisko... oczy zaszczyły mi łzami. Był to list od mego najdroższego przyjaciela, towarzysza młodości, powiernika nadziei. Tak wyraźnie mi się ukazał z tym serdecznym uśmiechem i z ręką ku mnie wyciągniętą, że mię dreszcze przeszły. Tak, tak umarli wracają, bom ja go widział. Pamięć nasza jest doskonalszym światem od tego, co nas ota-

cza, ona przywraca życie jestestwom, już nieistniejącym.

Z drżącą ręką i zamglonym wzrokiem odczytałem wszystko, co napisał i w mojem biednem szlochającym sercu uczułem ranę tak bolesną, że zaczął jęczeć jak człowiek wzięty na tortury.

Cofnąłem się myślą do początków mego życia, jak gdybym rzekę wstecz przepłynął, poznałem ludzi zapomnianych od tak dawna, że sobie już nie przypominał ich nazwisk, tylko twarz ich żyła we mnie. Liście od matki mojej uprzytomniały mi starych służących, kształt domu naszego i różne drobne szczegóły czepiające się zazwyczaj, umysłów dziecięcych. Tak, ujrzałem nagle wszystkie dawne stroje mojej matki i rozmaite jej fizyonomie, według mody, jaką nosiła i coraz innego sposobu czesania się. Najdokładniej ją widziałem w sukni jedwabnej w staroświeckie kwiaty i przypomniałem sobie frazes, jaki mi powiedziała pewnego dnia, będąc w tej sukni:— Robercie moje dziecko, trzymaj się prosto, jeśli nie chcesz być garbatym całe życie.

W innej szufladzie znalazłem pamiątki miłosne bucik balowy, poszarpaną chusteczkę, nawet podwiązkę, włosy i uschłe kwiaty. Owe rozkoszne romanse, których bohaterki, żyjące jeszoze, są dziś siwe, przeniknęły mię gorzkim smutkiem, wiejącym od rzeczy na zawsze skończonych. Ach, te młode ozoła, na których się wiją włoski złote, te miluchne rączki, te spojrzenia wymowne, serca bijące, ten uśmiech, co obiecuje usta, te usta, co obiecują uścisk... A pierwszy pocałunek, ten pocałunek bez końca, pod wrażeniem którego za-

mykamy oczy i całą myślą zatapiamy się w niezrównanem szczęściu rychłego posiadania.

Wziąłem pełne ręce tych dawnych zadatków uczuć, i pokryłem je tysiącem gorących całusów i w duszy mojej, wzburzonej wspomnieniami, widziałem każdą z tych kochanek w chwili największych uniesień, cierpiąc gorsze katusze, od tych, jakie według bajek, mają nas czekać w piekle.

Ozostał ostatni list mój własny, podyktowany mi przed pięćdziesięciu laty, przez nauczyciela kaligrafii:

Moja droga mamó!

Kończę dziś lat siedm; jestto wiek rozsądku; korzystam z tego, żeby ci podziękować, żeś mi życie dała.  
uwielbiający cię synek

Robert.

Zadanie moje było skończone: stanąłem u źródła i nagle obejrzałem się na pozostające mi dni: dostrzegłem starość przerażającą, samotną, niedalekie zniedołężnienie i wszystko skończone, skończone, skończone!  
A przy mnie nikogo!

Rewolwer leży tu, na stole... Nabijam go... Nie odczytuj nigdy starych listów!"

Oto dlaczego zabija się niejednen, w którego życiu ludzie napróżno doszukują się wielkich zmartwień.



## C h â l i.

---

Admirał de la Vallée, który zdawał się drzemać w fotelu, odezwał się swym głosem przypominającym starą kobietę.

Miałem ja niegdyś małą awanturę miłosną, bardzo osobliwą — czy chcecie państwo, żebym ją wam opowiedział?

I nie poruszając się, opowiadał z głębi fotelu obszernego, z tym nieopuszczającym go nigdy uśmiechem à la Voltaire, z powodu którego uchodził za straszniego sceptyka.

### I.

Miałem naówczas lat trzydzieści, byłem porucznikiem okrętu, kiedy mi powierzono misję astronomiczną w Indyach środkowych. Otrzymawszy od rządu angielskiego wszelkie potrzebne środki doprowadzenia do skutku mego przedsięwzięcia, z orszakiem kilku ludzi, zapuściłem się wkrótce w głąb tego kraju nadzwyczajnego, zdumiewającego, cudownego.

Na opis tej podróży trzebaby dwudziestu tomów. Przejeżdżałem przez okolice nieprawdopodobnie wspaniałe, bywałem przyjmowany przez książąt nadludz-

kiej piękności i żyjących z przepychem niedouwierzenia. Przez ciąg dwóch miesięcy zdawało mi się, że żyję w poemacie, że przebiegam królestwo czarodziej-skie, na grzbietach słońców w wyobraźni tylko istniejących; odkrywałem wśród fantastycznych lasów ruiny, o jakich trudno zrobić sobie pojęcie; znajdowałem w miastach, jakby we śnie widzianych, tak były fantastyczne, cudowne budowle, delikatne i cyzelowane jak cacka, lekkie jak koronki i ogromne jak góry, te budowle, bajeczne, precudne, tak powabne, że się kochasz w ich kształtach jakby w kobiecych i że widok ich sprawia ci przyjemność fizyczną i zmysłową. Słowem, chodziłem rozbudzony — we śnie, jak się wyraził V. Hugo.

Nareszcie dotarłem do miasta Genhara, kresu mej podróży. Niegdyś było ono jednym z najbardziej kwitnących w Indyach środkowych; ale dziś bardzo podupadło. Rządy w niem sprawuje książę bogaty, samowładny; gwałtowny, szlachetny, a srogi, Rajah Maddan, prawdziwy monarcha wschodni: wykwintny a barbarzyński, uprzejmy a krwiożerczy, łączący wdzięk kobiecy z okrucieństwem niemiłosiernem.

Miasto leży w głębi doliny, nad małym jeziorem, otoczone mnóstwem pagód, które w jego wodach, kąpią swe mury.

Zdaleka wygląda ono jak biała olansza zwiększająca się w miarę, jak się przybliżasz i stopniowo ukazują się kopuły, strzały, wszystkie szczyty eleganckich i wysmukłych budowli indyjskich, odznaczających się szczególnym wdziękiem.

O jaką godzinę drogi od bram, spostrzegłem wspa-

niale ubranego słońia w orszaku honorowym, którego monarcha przesyłał mi w darze. Poprowadzono nas z wielką wystawnością do pałacu.

Pragnąłem chwili czasu, żeby się ubrać wytwornie, ale niecierpliwiący się król nie pozwolił na to, ohoiał on mnie przedewszystkiem poznać; wiedzieć, czego się można spodziewać po mnie, a potem dopiero powziąć jakie postanowienie.

Pomiędzy szeregami żołnierzy podobnymi z barwy miedzianej, do posągów w błyszczących mundurach, wprowadzono mię do wielkiej sali, otoczonej galeryami, na których stali ludzie w szatach szkarłatnych, wyszywanych drogiemi kamieniami.

Na takiej ławce, jakie u nas bywają w ogrodach, bez grzbietu, — ale przykrytej pysznym dywanem, dostrzegłem iskrzącą się masę, rodzaj słońca, siedzącego. Był to Rajah, który czekał na mnie nieruchomy, w szacie kanarkowo żółtej. Miał on na sobie dyamenty wartujące dziesięć lub piętnaście milionów, a na czole błyszcząca samotnie gwiazda Delhi, należąca po wsze czasy do dynastyi Parihara z Mundore, z której król ten pochodził.

Był to może dwudziesto-pięć latni chłopiec, który zdawał się mieć krew murzyńską w żyłach, należąc jednak do najczystszej rasy indyjskiej. Miał on oczy szeroko roztwarte, nieruchome, trochę niepewne, policzki wystające, usta grube, brodę kędzierzawą, czoło niskie i połyskliwe, ostre zęby, które często pokazywał, uśmiechając się machinalnie.

Podniósłszy się, przyszedł mi uścisnąć rękę, z angielska: potem prosił, bym usiadł obok niego, na tak

wysokiej ławce, zem z trudnością dostawał nogami do ziemi. Bardzo mi tam było niewygodnie.

Natychmiast zaproponował mi, na dzień następny polowanie na tygrysy. Polowania i walki stanowiły najważniejsze jego zajęcia i nie pojmował tego, żeby się ktoś oddawał czemuś innemu. Widocznie był przekonany, zem po to przyjechał z tak daleka, żeby się trochę rozerwał i miał towarzysza uciech.

Ponieważ był mi bardzo potrzebny, starałem się schlebiać jego skłonnościom i takim mu się podobał, że chcąc mi niezwłocznie pokazać walkę szermierzy, pociągnął do jakiejś areny położonej we wnętrzu pałacu.

Na jego rozkaz ukazało się dwóch ludzi nagich, z rękami uzbrojonymi w szpony stalowe i zaraz rzucili się na siebie, usiłując uderzyć jeden drugiego tą ostrą bronią, ryjącą na ich czarnej skórze długie czerwone pręgi, z których krew ciekła.

Trwało to długo, szermierze pokryci ranami, ciągle orali sobie jednak oiała, zapomocą grabi z ostrej blachy. Jeden z nich miał policzek posiekany, a drugi ucho rozszarpane na trzy części.

Książę przyglądał się temu z dziką i namiętą radością. Drgał ze szczęścia, piszcząc z zadowolenia i bezwiednie naśladował wszystkie ruchy walczących, krzycząc bezustanku: „Nacieraj, nacierajże!”

Jeden z nich padł bez przytomności, trzeba go było wynieść z areny, oblanego krwią, a Rajah westchnął głęboko z żalu, ze zmartwienia, że się to już skończyło. Potem zwrócił się ku mnie, ciekawym będąc mego zdania; choć byłem oburzony, winszowałem mu skwa-

pliwie. Nakoniec kazał mię zaprowadzić do Couch-Mahal (pałac przyjemności) gdzie zamieszkać miałem.

Przeszedłszy przez oudne ogrody, jakie tam tylko widzieć można, przybyłem do mojej rezydencyi.

Pałac ten, caoko położone w końcu parku królewskiego, zanurzał całą jedną stronę murów w świętem eziorze Vihara. Był on czworokątny, a każda z czterech fasad składała się z trzech szeregów, jeden nad drugim, galeryj z kolumnami przepysznej roboty. Na każdym rogu strzelały w górę wieżyczki lekkie, wysokie lub niskie, pojedyncze albo złączone po dwie, nierównej wielkości i z odmienną fizyognomią, podobne do kwiatów naturalnych, coby wyrosły na tym uroczym krzewie architektury wschodniej. Wszystkie były przykryte dachem dziwacznym w kształcie elegancznego kapelusika. W środku gmachu wznosiła się ogromna kopuła wydłużona a okrągła, jakby pierś z białego marmuru ku niebu zwrócona.

Całą tę budowlę od dołu do góry pokrywały rzeźby wytworne, arabeski porywające wzrok, nieruchome pochody osób delikatnie wykutych, przedstawiające układem i gestami z kamienia — obyczaje i zwyczaje Indyan.

Światło wpadało do pokoi przez okna w zębate łu-ski, z widokiem na ogrody. Na posadzkach marmurowych, były wykładane zgrabne bukiety z onyksów, lapis lazuli i z agatów.

Zaledwem się zdążył ubrać, kiedy dygnitarz dworski Haribadada, mający służyć za pośrednika pomiędzy księciem a mną, oznajmił mi przybycie króla.

Rajah ukazał się w swych szafranach, uściśnął mię



znów za rękę i zaczął opowiadać mnóstwo rzeczy, pytając ciągle o moje zdanie, które było mi bardzo trudno objawić. Niebawem przyszła mu chęć pokazać mi zwaliska dawnego pałacu, w drugim końcu ogrodów.

Był to istny las z kamieni, zamieszkiwany przez rzeszę wielkich małp. Samcy, za zbliżeniem się naszym, zaczęli biegać po murach, wykrzywając się na nas szkaradnie; a samice uciekały z małemi na rękach. Król śmiał się jak szalony, szczypał mię w ramię, na znak zadowolenia i usiadł pośród zwalisk; a dokoła nas, zgromadzenie zwierząt o białych faworytach, siedzące na szczytach murów, uczezione wszystkich wystających części budowli, pokazywało nam język i pięścią groziło.

Nasycowszy się tym widokiem, żółty monarcha podniósł się i odszedł z powagą, ciągnąc mnie ciągle z sobą uradowany, że się popisał przedemną takimi rzeczami w sam dzień mego przybycia i przypominając, że mię uczi nazajutrz polowaniem na tygrysy.

Byłem na tem polowaniu, na drugim, trzecim, dziesiątem i dwudziestem z rzędu. Urządzano łowy na wszystkie zwierzęta, jakie się znajdują w okolicy; na panterę, niedźwiedzia, słonia, antylopę, hipopotama i chyba na połowę zwierząt z kuli ziemskiej. Byłem zmordowany: ciągły widok krwi płynącej budził we mnie obrzydzenie, a jednostajne rozrywki nużyły mię.

Nakoniec uśmierzył się zapal księcia i zdołałem go uprosić o trochę czasu do pracy, ograniczał się teraz na obsypywaniu mię podarkami. Przysyłał klejnoty, pyszne materye, zwierzęta wytresowane, które Hari-badada składał przedemną, okazując taką cześć, jakby

samemu słońcu, chociaż w głębi ducha bardzo mną pogardzał.

Codziennie cały szereg służalców przynosił mi na przykrytych półmiskach porcję każdej potrawy z obiadu królewskiego. Codziennie, musiałem się zjawiać i to z wielką radością, na jakiej nowej zabawie, urządzonej dla mnie; były to tańce bajaderek, sztuki kuglarskie, przeglądy wojsk i wszystko, co tylko zdołał wymyśleć ten gościnny ale męczący Rajah, żeby mi przedstawić swą ojczyznę w pełni piękna i blasku.

Skoro tylko zostawiono mię samego, pracowałem lub siedłem przyglądać się małpom, których towarzystwo podobało mi się daleko lepiej, aniżeli króla.

Pewnego wieczoru, wracając z przechadzki, zastałem przed bramą mego pałacu Haribadę, który oznajmił mi uroczyście, w tajemniczych słowach, że w moim pokoju czeka mię podarek od monarchy i przeproszał w imieniu swego pana, iż nie pomyślał wcześniej ofiarować mi to, bez czego było mi pewno przykro się obywać.

Po tej niejasnej przemowie, poseł uklonił się i znikł.

Wszedłszy, spostrzegłem stojące rzędem pod ścianą sześć nieruchomych dziewczynek. Najstarsza miała może lat ośm, najmłodsza sześć. W pierwszej chwili nie zrozumiałem dlaczego ta pensya do mnie jest tam przyprowadzoną; potem dopiero odgadłem grzeczność księcia, — obdarzył mnie on haremem. Przez zbytę łaskawości wybrał bardzo młody; tam bowiem, owoc im zieleni, tembardziej ceniony.

Stałem zmieszany, zafrasowany i zawstydzony naprzeciw tych maleństw, które patrzyły na mnie wiel-

kiem, poważnem okiem i zdawały się już wiedzieć, czego od nich żądać mogą.

Nie wiedziałem, co im powiedzieć. Byłbym je chętnie odprawił, ale monarsze nie zwraca się podarku: byłoby to: śmiertelną zniewagą. Trzeba było zatrzymać i umieścić u siebie tę gromadkę dziewczątek.

Stały nieruchome, wpatrując się ciągle we mnie, oczekując mego rozkazu, usiłując wyczytać z oczu myśl moją. Ach, przekłety dar! Jakże mi był nie na rękę! Nakoniec czując, żeś śmieszny, zapytałem najstarszej:

— Jak się nazywasz?

— Châli.

Ta dziewczeczka z ładną cerą, żółtawa jak kość słoniowa, było to cudo, posąg, z twarzą o rysach długich i surowych. Chcąc się przekonać, co mi też może odpowiedzieć, a może i żeby ją zawstydzić, zapytałem: — Pocoś tu przyszła?

Odrzekła swym słodkim dźwięcznym głosem: — Przyszłam po to, żeby zrobić wszystko, czego pan zażąda odemnie. Dziecko to było już świadome.

Toż samo pytanie zadałem najmniejszej, która słabszym głosikiem odpowiedziała wyraźnie: Jestem tu po to, czego się panu podoba zażądać odemnie.

Ta, przypominała myszkę i była milutka nad wyraz. Porwałem ją w objęcia i uściskałem. Inne zrobiły ruch, jak gdyby chciały odejść, myśląc pewno, żeś wskazał przez to, którą wybieram, ale kazałem im zostać i usiadłszy po indyjsku usadowiłem je dokoła siebie i zacząłem opowiadać historią o duchach, gdyż nieźle mówiłem ich językiem.

Słuchały z natężoną uwagą i drżały z podziwu lub z trwogi, poruszały rączkami. Już nie myślały biedaczki, w jakim celu przybyły.

Skończywszy opowiadanie, przywołałem mego pofnego sługę Latchmâna i kazałem mu przynieść cukierków, konfitur, ciastek i jadły aż do mdłości. Ponieważ mnie to zdarzenie zaczynało niezmiernie bawić, urządziłem gry dla rozerwania żon moich.

Jedna w szczególności miała ogromne powodzenie, oto robiłem most z moich nóg i dziewczątka przebiegały pod nim: najmniejsza na czele. Największa trochę mię potraçała, zawsze się zamało nachylając. Wybuchwały one hałaśliwym śmiechem, a te młode głosiki rozlegające się pod niskimi sklepieniami mego wspomnianego pałacu, rozbudzały go, rozweselały i ożywiały.

Potem zająłem się gorliwie urządzeniem sypialni dla moich niewinnych sułtanek i zamknąłem je narazcie pod strażą czterech służebnic, które przysłał mi książę, żeby miały o nich staranie.

Przez ośm dni, z prawdziwą przyjemnością bawiłem się w papę tych laleczek. Grywaliśmy w ciociu babkę i w różne gry, codzien inne, nieznanne im, które je pobudzały do szalonej radości.

Mieszkanie moje wyglądało teraz jak klasa. Przyjaciółeczki moje, ubrane w przepyszne materye haftowane złotem i srebrem, biegały jak ulaskawione zwierzątka, po długich galeryach i cichych salach, gdzie słabe światło wpadało przez łuki sklepienia.

Pewnego wieczoru, sam niewiem, jak się to stało, ale największa z nich, imieniem Châli, podobna do sta-

tuetki ze starej kości słoniowej, naprawdę stała się moją żoną.

Była to cudowna istota, słodka, nieśmiała i wesola, która wkrótce pokochała mnie gorąco i którą ja kochałem dziwnie ze wstydem, z wahaniem, z niejaką obawą sprawiedliwości europejskiej, z ostrożnością i ze skrupułami, a jednak uczuciem namiętmem i zmysłowem. Kochałem ją jak ojciec, a pieściłem jak mężczyzna.

Przepraszam was, moje panie, trochę za daleko zachodzę.

Tamte bawiły się dalej w pałacu, podobne do gromadki kociąt.

Châli już mię nie odstępowała, ohyba żem szedł do księcia.

Spędzaliśmy rozkoszne chwile w ruinach starego pałacu, pośród małp, które się z nami oswoiły. Châli kładła się na moich kolanach i leżała, rojąc o czemś w swej główce sfinksa, lub może niemyśląc o niczem, lecz zachowując ciągle tę piękną i uroczą pozę dziedziczną owych ludów szlachetnych i marzycielskich, hieroglificzną pozę świętych posągów.

Przyniosłem z sobą na dużym miedzianym półmisku zapasy: ciastka, owoce. Małpy zbliżały się zwolna, a za nimi ich dzieci, lękliwsze; potem siadały do koła nas, wieńcem, nieśmiejąc zbliżyć się bardziej i czekały, żebym rozdał łakocie.

Wtedy prawie zawsze jeden ze śmielszych samców, przychodził aż do mnie, z ręką wyciągniętą, jak zebrak i dawałem mu kawałek, który zanosił swojej samicy. Inne zaczynały wtedy krzyczeć jak szalone,



z zazdrości i ze złości i niemogłem inaczej uciszyć tej okropnej wrzawy jak, rzucając coś każdej.

Ponieważ było mi bardzo dobrze w tych zwaliskach, chciałem tam pracować, ale jak tylko mały spostrzegły miedziane instrumenta do wymiarów, biorąc je pewno za narzędzia śmierci, pouciekały na wszystkie strony, krzyząc przeraźliwie.

Często przepędzałem także wieczory z Châli, na jednej z galerij zewnętrznych, wznoszącej się ponad jeziorem Vihara. Przyglądaliśmy się w milczeniu błyszczącemu księżycowi, który się toczył po niebie, rzucając na wodę drgający płaszcz srebrzysty; a tam na drugim brzegu ukazywał nam się szereg małych pagód podobnych do zgrabnych grzybów, wyrastających z wody. Biorąc w objęcia poważną głowę mojej małej kochanki, całowałem powoli, długo, jej czoło gładkie, duże oczy pełne tajemnicy tej ziemi starożytnej i bajecznej i usta spokojne, które się otwierały pod moją pieśczętą. I zradzało się we mnie uczucie potężne, a nadewszystko poetyczne, że posiadam całą rasę w tej dzieweczce — tę piękną i tajemniczą rasę, od której wszystkie inne zdają się pochodzić.

Książę tymczasem, nie przestawał mnie zarzucać podarkami.

Pewnego dnia, przysłał mi przedmiot bardzo niespodziewany, który wzniesił w Châli namiętne uwielbienie. Było to poprostu pudełko z muszel, jedno z tych pudełek tekturowych, pokrytych z wierzchu muszlami, które się przykleja do miazgi. We Francyi kosztowałyby najwyższej czterdzieści su; ale tam, klej-

not ten nie miał ceny. Musiał to być pierwszy okaz, jaki się dostał do królestwa.

Postawiłem je na stoliku, uśmiechając się, że taką tam wartość nadają temu brzydkiemu i pospolitemu przedmiotowi.

Ale Châli nie przestawała się przyglądać i podziwiać, pełna poszanowania oraz zachwytu. Od czasu do czasu, pytała: — Czy pozwalasz mi dotknąć tego? A gdym ją upoważnił, podnosiła wierzch, zamykała go bardzo ostrożnie, muskała oieniuohnym paluszkim ru-no z muszelek i zdawało się, że to dotknięcie przenika ją rozkosznem wrażeniem, aż do głębi serca.

Jednakże skończyłem już moje prace i trzeba było powracać. Długo nie mogłem się zdobyć na to, powstrzymywany uczuciem dla mej małej przyjaciółeczki, ale nakoniec musiałem się poddać konieczności.

Książę, zmartwiony tem, urządzał nowe polowania nowe walki szermierzy, ale po upływie dwóch tygodni spędzonych wśród tych przyjemności, okazałem, że nie mogę pozostać dłużej, przestał więc nalegać.

Pozegnanie Châli było rozdzierające; płakała z główką opartą na mej piersi, na wskrós przenikniona smutkiem. Niewiedziałem, czem ją pocieszyć, gdyż pocałunki nic nie pomagały.

Nagle, przyszła mi pewna myśl do głowy: Podniosłem się i poszedłem po pudełko z muszli, które jej wręczyłem, mówiąc:

— To twoje.

Najpierw uśmiechnęła się, cała jej twarzyczka ożywiła się wewnętrzną radością, tą radością głęboką, ja-

ka nas ogarnia, gdy się niespodzianie ziści szalone marzenie.

Potem uściskała mię z zapalem. Mniejsza o to, bardzo jednak płakała w chwili ostatecznego pożegnania.

Rozdzieliwszy ojcowskie pocałunki i ciastka pomiędzy inne żony moje, odjechałem.

## II.

Po upływie dwóch lat traf zrządził, że mię znów obowiązki służby morskiej zagnały do Bombayu, w skutek nieprzewidzianych okoliczności, pozostawiono mię tam, poruczając nową misję, jako obeznanemu z krajem i językiem.

Spełniłem zadanie me jaknajspieszniej i mając jeszcze trzy miesiące wolnego czasu, postanowiłem odwiedzić przyjaciela mego króla Ganhary i moją żonkę Châli, którą spodziewałem się zastać bardzo odmienioną.

Rajah Maddan przyjął mię z oznakami szalonej radości. Kazał zarządzić w obec mnie trzech gladiatorów i pierwszego dnia, nie pozostawił mię samego ani na sekundę.

Zwolniwszy się od niego nareszcie wieczorem, kazałem przywołać Haribadadę i po przeróżnych pytaaniach, dla odwrócenia jego domysłów, zagadnąłem: — A czy nie wiesz, co się dzieje z tą małą Châli, którą mi Rajah podarował?

Przybrał on fizyonomię smutną, zafrasowaną i z wielkiem zakłopotaniem, rzekł:

— Lepiej nie mówić o niej!

- Dlaczego? To była miłuchna żonka.
- Smutny los ją czekał.
- Jakto, Châli? Co się z nią stało? Gdzież jest?
- Chciałem powiedzieć, że ją zły koniec spotkał.
- Zły koniec? Czy umarła?
- Tak, panie. Popęłniła brzydki czyn.

Byłem bardzo wzruszony, czułem, że mi serce bije i trwoga tamuje oddech.

— Brzydki czyn? — zapytałem. Cóż ona zrobiła? Co jej się stało?

Coraz bardziej zakłopotany, szepnęła mi: — Lepiej, żeby pan o to nie pytał.

- Owszem, chcę wiedzieć.
- Dopuszczyła się kradzieży.
- Jakto, Châli? Kogoż okradła?
- Pana.
- Mnie? Jakim sposobem?
- Wzięła w dzień pańskiego wyjazdu, szkatułkę, którą książę dał panu. Znaleziono ją w jej rękach.
- Jaką szkatułkę?
- Szkatułkę muszlową.
- Ależ ja ją darowałem.

Indyanin podniósł na mnie zdumione oczy i rzekł: Tak, rzeczywiście przysięgała się na wszystkie świętości, żeś jej pan darował, ale nie chciano wierzyć, żeby pan ofiarował niewolnicy podarek otrzymany od króla i Rajah kazał ją ukarać.

- Jakto ukarać? Cóż jej zrobiono?
- Zawiązano w worek i wrzucono do jeziora z tego okna; z okna pokoju, w którym jesteśmy i gdzie się dopuściła kradzieży.

Doznawszy tak bolesnego wrażenia, jak jeszcze nigdy w życiu, skinąłem na Haribadagę, żeby wyszedł, niechając mu pokazać mych łez.

Całą tę noc spędziłem na galeryi, wznoszącej się nad jeziorem, na tej galeryi, gdzie tyle razy trzymałem biedne dziecko na kolanach.

I myślałem o tem, że szkielet jej ładnego ciała, już w rozkładzie jest tam, podemną, w worku płóciennym związanym postronkiem, w głębi tej wody czarnej, której niegdyś przyglądaliśmy się razem.

Nazajutrz odjechałem, pomimo próśb i gwałtownego zmartwienia Rajaha.

I zdaje mi się teraz, że nigdy nie kochał żadnej kobiety, tylko jedną Châli.

---



## Dekorowany.

Ludzie przychodzą na świat z pewnym instynktem górującym. Z powołaniem lub poprostu z pragnieniem, które się rozbudza, skoro tylko zaczną mówić i myśleć.

P. Sacrement od dzieciństwa jedną tylko myślą miał nabitą głowę — otrzymać order. Malcem jeszcze stroił się w cynowe krzyżyki legii honorowej, jak inne dzieci w kepi i trzymając się ręki matki dumnie szedł ulicą, wydymając pierś zdobną we wstążeczkę czerwoną i gwiazdkę metalową.

Ponieważ licho się uczył, a następnie nie otrzymał stopnia uniwersyteckiego, niewiedząc już, co z sobą robić, ożenił się z ładną panną, — miał bowiem majątek.

Żyli oni w Paryżu, jak cała zamożna burżuazja: bywali w świecie, nie łącząc się ze światem, — pyszni ze znajomości z deputowanym, który mógł zostać ministrem oraz z dwoma naczelnikami wydziałów.

Ale myśl gnieźdząca się w głowie p. Sacrement od pierwszych dni jego życia, nie opuszczała go i dręczył się tem ciągle, że nie może pokazywać na surducie wstążeczki kolorowej.

Spotkanie człowieka dekorowanego na bulwarze,

było ciosem dla jego serca. Patrzył na niego z pod oka z nurtującą go zazdrością. Czasami, w długie a bezczynne popołudnia rachował tych ludzi i mówił sobie:— Ciekawym, ilu spotkam od Magdaleny do ulicy Drouot.

Szedł wolno, robiąc przegląd paltotów, okiem wprawmem w rozpoznawanie zdaleka czerwonego punkiku. Przybywszy do kresu swej przechadzki, zawsze się dziwił liczbie. Ośmiu oficerów i siedmnastu kawalerów, — tak dużo! Co za nedorzeczość tak szafować krzyżami. Ilu też spotkam idąc z powrotem?

I wracał powoli, trapiąc się, jeśli mu ciżba przeszkadzała w poszukiwaniach lub była powodem, że pominął kogo.

Wiedział, w których dzielnicach spotyka się ich najwięcej. Szczególnie obfitowali oni w Palais-Royal; aleja Opery nie wyrównywała ulicy de la Paix; prawa strona bulwaru bardziej była uczęszczana, niż lewa. Zdawało się, iż ci uprzywilejowani mieli też słabość do pewnych kawiarni i niektórych teatrów. Każdy raz co p. Secrement spostrzegł gromadkę starych i siwych ichmościów, stojących na środku chodnika i tamujących przechodniom drogę, mówił sobie: To oficerowie legii honorowej i miał ochotę oddać im pokłon. Oficerowie, (nieraz to zauważył), inną mają minę, niż prości kawalerowie. Odmienne trzymają głowę, czuć, iż im się należy, oficjalnie, większa część, że mają donioślejsze znaczenie.

Niekiedy także ogarniała pana Secrement wściekłość, złość, przeciw wszystkim, co noszą ordery: nienawidził ich, jakby jaki socjalista.

Wracał wtenczas do domu tak rozdrażniony, napo-

tykaniem tyłu krzyżyków, jak zgłodniały biedak, co przechodził koło sklepów z produktami spożywczymi, wołał gromkim głosem: Kiedyż nakoniec uwolnią nas od tego nieuczciwego rządu? Żona pytała zadziwiona:

— Co tobie dziś jest?

— To mi jest — odpowiadał — zem oburzony niesprawiedliwością, jaką się wszędzie napotyka. Ach, jakąż mieli słusność ci... ci...

Ale po obiedzie szedł znowu przejrzeć sklepy z orderami. Przypatrywał się tym godłom rozmaitych kształtów i barw; byłby choiał posiadać wszystkie i na jakim publicznym obchodzie, w ogromnej, przepelnionej sali, isć z powagą na czele orszaku, z kapeluszem składanym pod pachą, z piersią błyszczącą jak gwiazda od orderów, budząc w tłumie podziw i uszanowanie.

Niestety! nie miał on tytułu do żadnego orderu.

Legia honorowa jest, co prawda, za trudną do zdobycia dla człowieka, który niesprawuje urzędu publicznego ale możeby się postarać o nominację na członka akademii?

Niewiedząc, jak się wziąć do dzieła, zwierzył się żonie, która wykrzyknęła zadziwiona:

— Ty, członkiem akademii? Jakież masz tytuły?

— Zrozumiejże mnie! — zawołał z gniewem. Ja właśnie nad tem myślę, jakim sposobem nabyć tytuły. Czasami takas głupia!

— Prawda, masz słusność, — odrzekła z uśmiechem, ale ja nie wiem, co ci na to powiedzieć.

Błysnęła mu w głowie myśl. A gdybyś pomówiła z deputowanym Rosselin? Onby mi mógł dać dosko-

nałą radę. Pejmujesz, że nie śmiem zaczepiać go wprost o tę kwestyę, trochę drażliwą i trudną... ale z twojej strony wyda się to zupełnie naturalne.

Pani Sacrement spełniła jego żądanie i pan Rosse-  
lin obiecał porozumieć się z ministrem. Odtąd Sacre-  
ment zaczął go tak napastować, że w końcu doradził  
mu zrobić podanie z wyszczególnieniem swoich ty-  
tułów.

Tytuły? Ależ on nie jest nawet bakałarzem.

Jednakże wziął się do pracy i zaczął broszurę trak-  
tującą o „prawie ludu do oświaty”. Nie mógł jej do-  
kończyć dla braku idei.

Szukał potem łatwiejszych przedmiotów i kilku,  
z kolei, próbował. Najpierw „o nauczaniu dzieci za po-  
mocą wzroku”. Chciał on, żeby urządzono w dzielni-  
cach ubogich, rodzaj bezpłatnych teatrów dla małych  
dzieci. Rodzice prowadziliby je tam od najmłodszych  
lat i za pomocą latarni magicznej, dawano by im pojęcie  
o całym obszarze wiedzy ludzkiej. Byłyby to praw-  
dziwe kursa. Wzrok oświecałby mózg, a obrazy zosta-  
łyby wyryte w pamięci, czyniąc naukę niejako wi-  
działną.

Cóż prostszego, jak uczyć w ten sposób historii po-  
wszechnej, geografii, historii naturalnej, botaniki, zo-  
ologii, anatomii, i t. d. i t. d.

Gdy wydrukowanym został ten memoriał, posłał  
po jednym egzemplarzu każdemu z deputowanych, po  
dziesięć ministrom, pięćdziesiąt prezydentowi republi-  
ki, po dziesięć także dziennikom paryskim, po pięć  
prowincjonalnym.

Następnie traktował o kwestyi bibliotek publicz-

nych, chcąc, żeby rząd rozsyłał na ulicę wózki pełne książek nakształt tych, co widzimy z pomarańczami. Każdy mieszkaniec mógłby zaabonować dziesięć tomów za jeden su miesięcznie.

Lud mówił p. Sacrement lubi tylko przyjemności szukać za domem i kiedy zatem on nie idzie ku oświacie, niechajże oświata przychodzi do niego, i t. d.

Pomysły te nie zyskały rozgłosu; mimo to wystąpił on z podaniem. Odpowiedziano, że interes jest w biegu. Pewien był powodzenia, czekał, ale nic nie nadchodziło.

Nakoniec zdecydował się robić starania osobiście: zażądał posłuchania u ministra oświaty publicznej. Przyjął go attaché wprawdzie bardzo młody, ale już nader poważny, a nawet imponujący. Poruszał on szereg białych gałek, jakby klawisze fortepianu, żeby przywoływać woźnych, lokai z przedpokoju i niższych urzędników. Suplikanta zapewnił, że sprawa jego jest na dobrej drodze i radzi mu nie ustawać w swych znakomitych pracach.

P. Sacrement wziął się znowu do dzieła. Deputowany Rosselin okazywał mu wiele życzliwości i dawał doskonałe oraz praktyczne rady. Zresztą i on sam miał ordery z przyczyn niewiadomych. Wskazał on p. Sacrement, jakie nowe studia ma przedsięwziąć, przedstawił go Towarzystwom uczonym, zajmującym się w szczególności ciemnymi punktami nauki dla pozyskania odznaczeń; protegował go nawet w ministerjum.

Otóż, pewnego dnia, kiedy przyszedł do swego przyjaciela na śniadanie, (od kilku miesięcy często ja-



dał, w jego domu), rzekł po oichu, ścisnąc go za rękę: Otrzymałem dla pana wielką łaskę: Komitet prac historycznych powierza ci misję. Idzie o robienie poszukiwań w rozmaitych bibliotekach Francji.

Sacrement omdlewał z radości; nie mógł jeść ani pić. W tydzień już go nie było w Paryżu.

Jeździł z miasta do miasta, przeglądając katalogi, szperając po strychach napchanych szpargałami zapyłonemi — nienawidzony przez bibliotekarzy.

Pewnego wieczoru, kiedy był w Rouen, przyszła mu chęć uściskać żonę, której nie widział od tygodnia. Wsiadł więc do pociągu o 9-ej, do domu zaś miał przybyć o północy.

Mając przy sobie klucz, wszedł nie robiąc hałasu, drżący z radości, uszczęśliwiony, że jej sprawi niespodziankę. Zamknęła się, oóż za szkoda! — Joanno, to ja! — zawołał przez drzwi.

Bardzo się widać zaleęła, usłyszał bowiem, że wyskoczywszy z łóżka, jakby przez sen mówiła do siebie potem poszła ozempredzej w stronę garderoby, otworzyła ją i zamknęła; przebiegła szybko kilka razy, przez pokój, bosą, potrącając o meble, na których brzęczały szklane przedmioty; nareszcie zapytała: — Czy to naprawdę ty, Aleksandrze?

— Ależ tak, to ja, otwórzże!

Drzwi się otworzyły, żona rzuciła mu się na szyję, szepcząc z pomieszaniem: — Ach, jakżem się przyleęła! Jaka niespodzianka. Jaka uciecha!

Wziął się do rozbierania i systematyczny we wszytkiem, zdjął z krzesła paltot, żeby podług zwyczaju,

powiesić go w sieni, lecz stanął jak wryty, w dziurce od guzika była czerwona wstążeczka!

— Przy tym... paltocie... jest... order! bąkał.

Tu, żona jednym susem przyskoczywszy, wyrwała mu z rąk paltot, wołając: Nie... nie... mylisz się... daj mi to...

Ale on ciągle trzymał za rękaw, niepuszczając i powtarzał, jakby nieprzytomny.

— Co mówisz? Dlaczego? wytłumacz się... czyje to ubranie? Nie moje... kiedy jest przy niem order legii honorowej.

Usiłowała ciągle wyrwać mu paltot, odchodząc od zmysłów, bąkając: — Słuchaj... słuchajże... dajmi to... Nie mogę ci powiedzieć... to tajemnica... słuchaj...

Ale on, gniewny, blady, wołał:— Ja chcę wiedzieć, z kąd się tu wzięł ten paltot, to nie mój."

— Owszem, twój... tylko bądźże cicho... Przysięgnij mi... słuchaj... Jesteś dekorowany!

Upuścił paltot z silnego wzruszenia i padł na fotel.

— Jestem... powiadasz... jestem... dekorowany.

— Tak, to sekret, wielki sekret.

Zamknąwszy w szafie to zaszczytne ubranie, wróciła do męża, blada i drżąca. Tak — rzekła — to nowy paltot, który ci kazałam zrobić, alem przysięgła, że nic nie powiem. Urzędownie dowiesz się dopiero za miesiąc lub sześć tygodni, trzeba, żebyś pierwej skończył swą misję. Miałeś się dowiedzieć nie prędzej, jak po powrocie. Wyrobił ci to pan Rosselin...

Sacrement omdlewając ze wzruszenia, jękał... Rosselin... dekorowany... wyrobił mi order... ja... on... ach!

Musiał wypić szklanę wody.

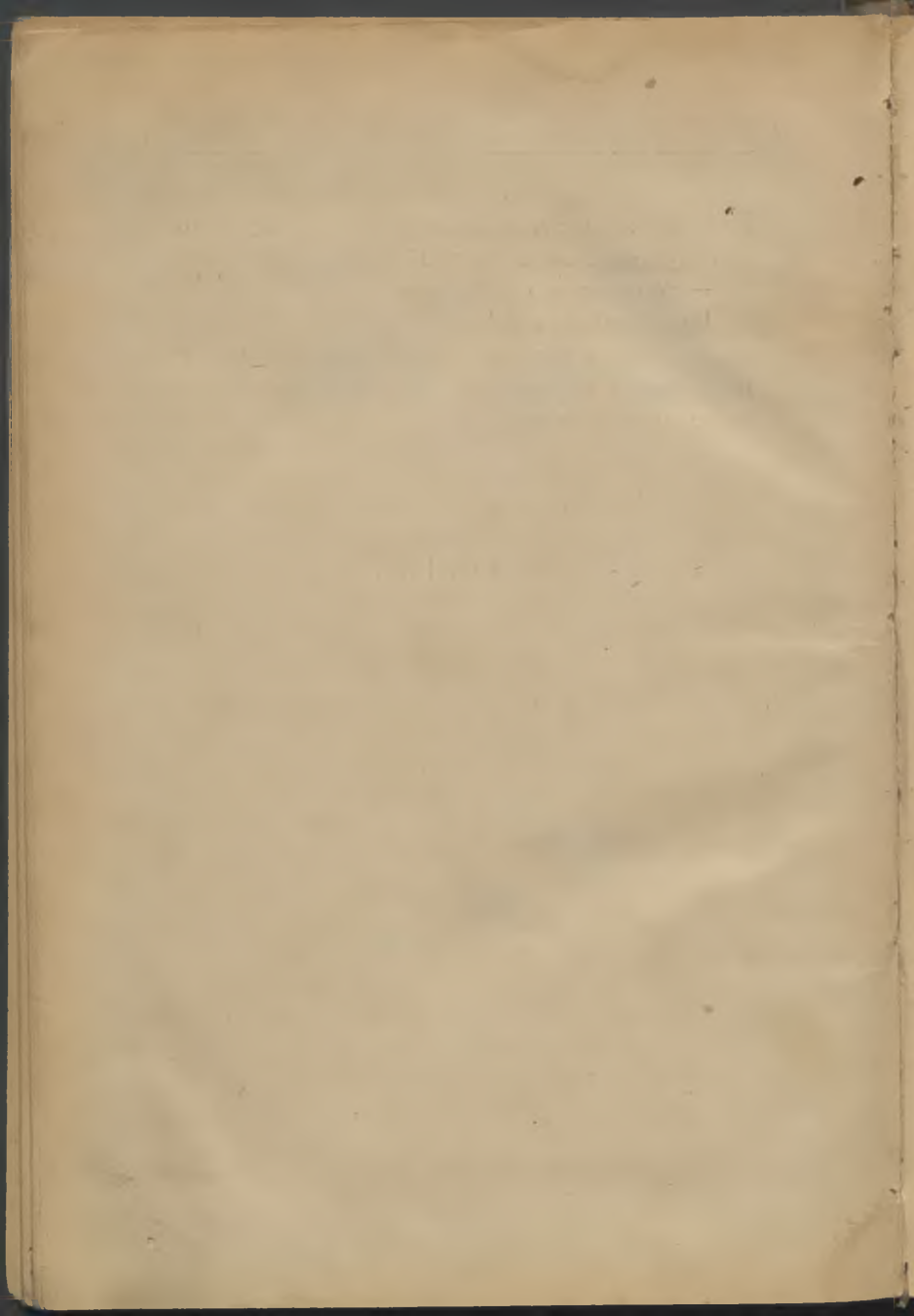
Na ziemi leżał biały papierek, który wypadł z kieszeni od paltota; Sacrement podniósł go—była to karta wizytowa. Przeczytał: „Rosselin—deputowany.”

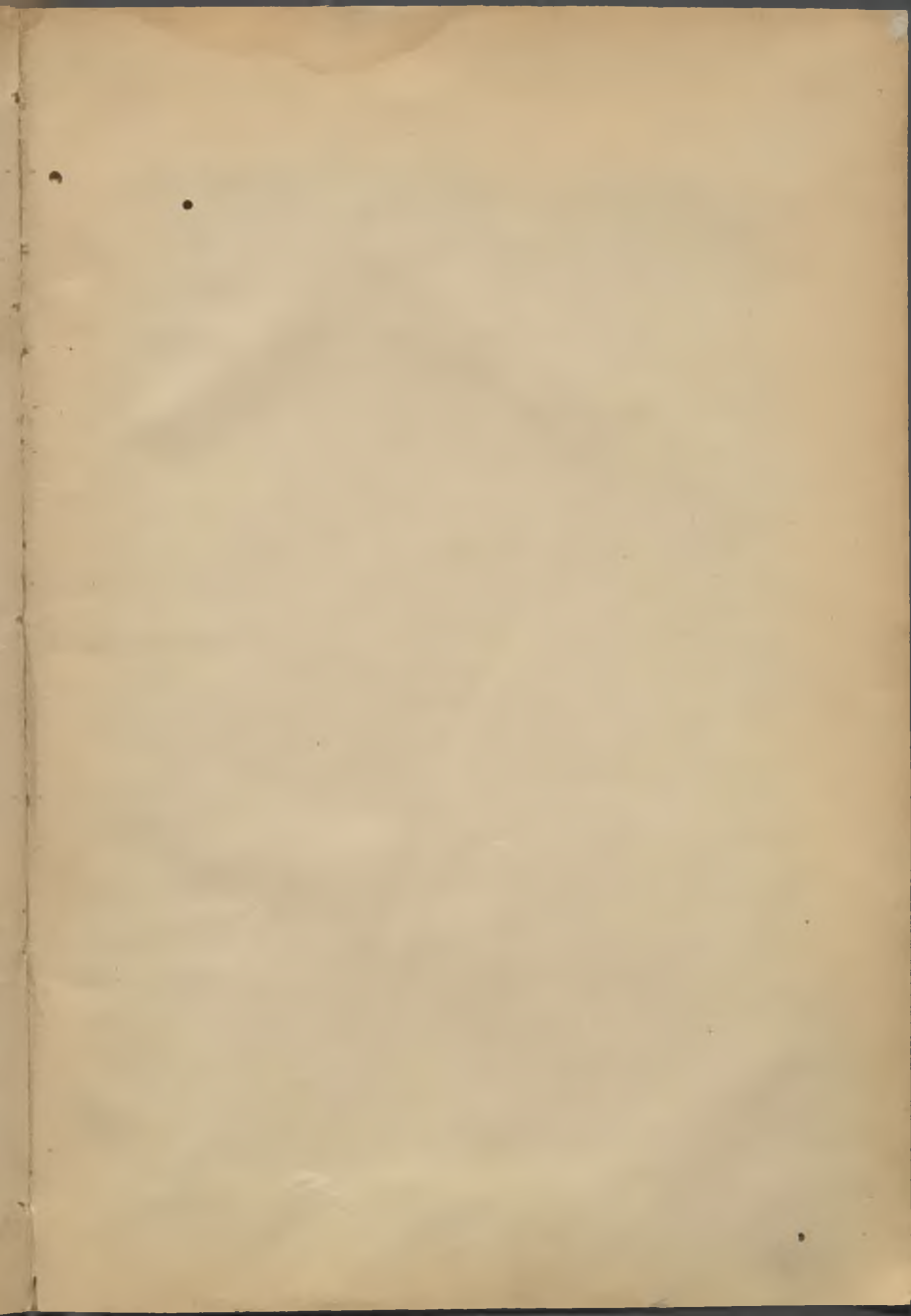
— Widzisz — rzekła żona.

Rozpłakał się z radości.

Po upływie tygodnia Officiel obwieścił, że p. Sacrement został mianowany kawalerem legii honorowej, za wyjątkowe usługi.

K O N I E C.







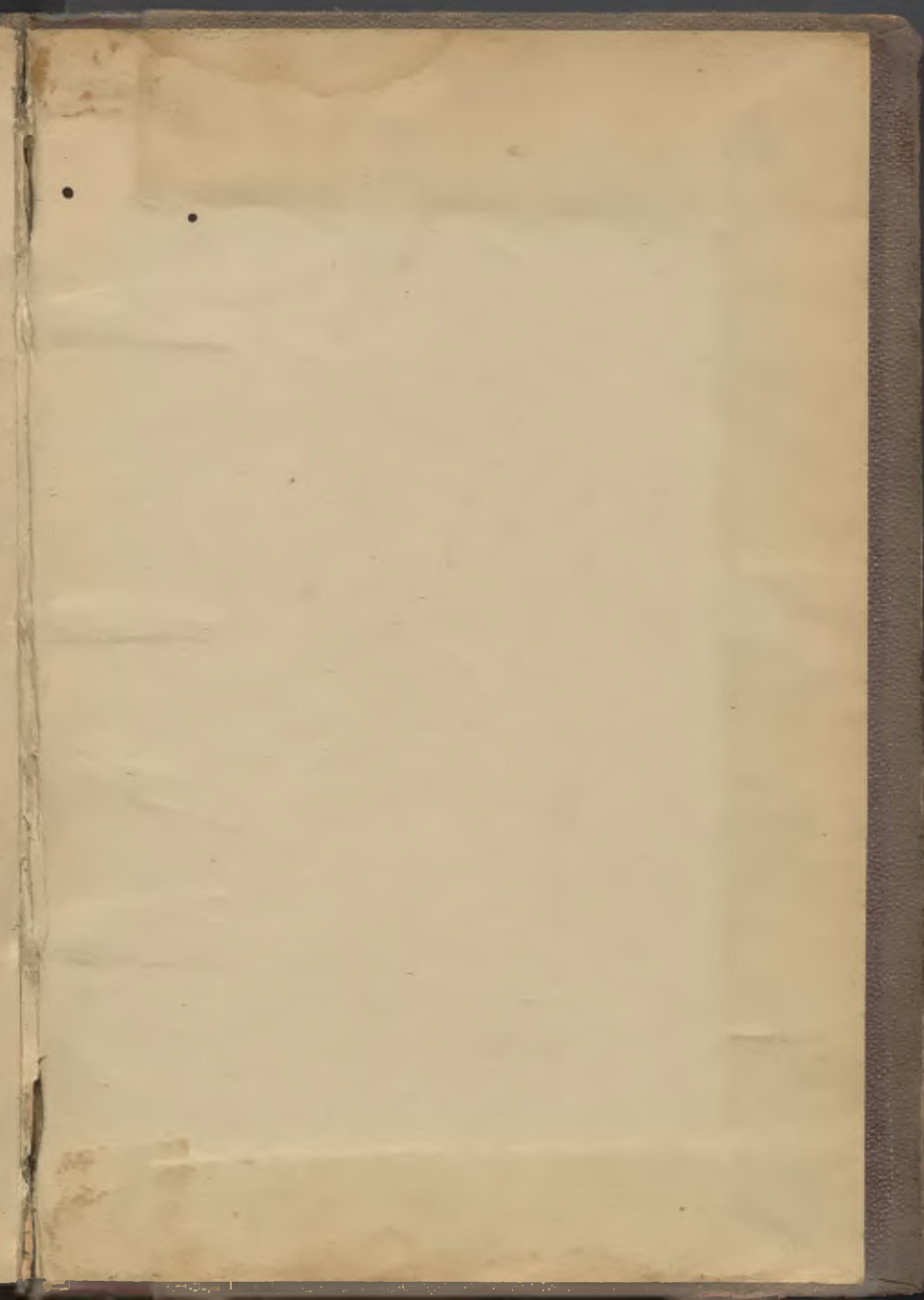
30

1331725 - 1331726

Biblioteka Główna UMK



300050423027



Biblioteka

Główna

1331725

Biblioteka

Główna

UMK Toruń

1331726

KLOCEK

24

Biblioteka Główna UMK



300050423027